

LUTEŃKA
z nad Bugu.

LUTENKA

Z NAD BUGU

CZYLI

WSPOMNIENIA PRZESZŁOŚCI.

*Dr Bronisław Dieczorkiewicz
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego*

Lipsk.

Drukarnia A. Th. Engelhardta.

1864.

Komputer:

02



135228

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0079014

GŁOS OJCZYZNY DO SYNÓW.

Jeśli nie będzie można wypłynąć,
W upadku mego godzinie,
Jam aż na ten czas powinna zginąć,
Kiedy ostatni z was zginie. —

*Dr Bronisław Binczewski
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego*

K-210/81/135228

Do

moich Braci Polaków.

Zbiegiem nieszczęśliwych kolei, wśród łzów ukochanego ludu, oderwany od domu, rodziny i od wszystkiego co mi jest najdroższe, z dala od ukochanej ziemi, przepędzając wśród obcych tęsknie życie tułaczce, aby sprawić jaką bądź ulgę sobie, czas przepędzić jak można gołziwie i upamiętnić dni smutne mojej pielgrzymki, kilka serdecznych poczuć jakie się odbijały w sercu mojem, przenieśliem na papier, aby z potulaczki rzucić choć zwiędły kwiatek pomiędzy rodaków, jako plon z krwi i łzów naszych wydobyty. Weźcie go bracia z tem samem poczuciem z jakim w ręce wasze go składałam w przekonaniu, że nieudolność moją serdecznemi uczuciami miłości ojczyzny osłonią, uwzględnić racycie.

Brat wasz.

moich Braci Polaków.

Do mojej drugiej Rodziny.

Kiedym pod naciskiem srogiego prześladowania, raz może ostatni żegnał się z wami, serca nasze w cichości żółciowemi wyrazami porozumiewały się wzajem a wcielając w zrok moj w was moi drodzy jak w tęczę łzamiśmy się zamiast słów rozmawiali. „Bądźcie mi zdrowi!“ oto okropny wyraz, który brzmi jeszcze dotąd w mej duszy, a który z warknieniem kół bryczki ulatał, kiedy jeszcze oglądając się po za siebie, ostatni cień lubyh mi stron i waszych osób chwytałem, płacząc i myśląc: będziemy się widzieli chyba na tamtym świecie. Odtąd tulając się po świecie, górach, skałach, rzekach i dolinach zwierzałem moją tęsknotę i żale, a biorąc pióro łzami polane do ręki, pisałem

cóś, coby mogło wam się wywiązać za rozciągą opiekę waszą w mojej potulacze, bo dumny jestem posiadając tak religijną i pociwłą rodzinę. Kiedy te moje smutne marzenia przeczytacie, przyjmijcie je za dowód wdzięczności i dozgonnej miłości mojej ku wam wszystkim.

Wasz.

Słodka jest pamięć przeszłości.

S.

rodzinne ustronie.

1800.

W cichéj, uroczej dolinie,
Trącając o dno dziarniste,
Mutawa rzeczółka płynie
Szparko snując zdroje czyste.

Tam w pięknym wiosny poranku,
Wytwarzają piosnki ptaszki,
Złote rybki bez przestanku
Płasają, strojąc igraszki.

Wszystko się mili téj stronie,
Wszystko ją barwi urokiem,
Tu gaik, tam piękne błonie,
I kobierce łąk pod okiem.

Ogródek, pszczołna pasieka.
Na jarach zboże dokoła,
Zajmuje uwagę czleka,
Na co rzuci okiem zgola.

Ponad strugiem domek stoi,
Nie żadnym blaskiem bogaty,
Ale że u tych podwoi,
Żyła cnota z antenaty.

Zasób, gościnność wylana,
Bez wsparcia nie był ubogi,
Słowem, czy wieczór, czy z rana,
Były otworem te progi.

Lecz nad wszystkich bogactw zdroje,
Coś tam droższe było przecie,
Czeigodnych rodziców dwoje,
Skarb nieoceniony w świecie.

Z nimi raz szczęśliwy byłem,
Karmiąc się żywą ich cnotą,
W tém zabątku się rodziłem,
Ciesząc się przyszłością złotą.

Bo jakie szczęścia zadatki,
Wziąłby człek od Pana Boga,
Nie zastąpią ojca, matki,
Aż do samych niebios proga.

Pod takich aniołów okiem,
Słodko nam młodość leciała,
I z tego źródła potokiem,
Cała się szczodrota lala.

Jeszcze dotąd z onej chwili,
Wzniosłych drzew szpaler powiewa,
I te któreśmy szczepili,
Gną się pod owocem drzewa

Lecz w czasie byrстрыm przelocie,
Zima po lecie nastala,
Znikły rozkosz naszych krocie,
I czezość się tylko zostala.

Wionął wiatr ze złej kolei,
Raj nasz zamienił w pustkowie,
Pozbawił błogiej nadziei,
Prawie w dni naszych połowie.

Uleciał urok bogaty,
Uniósł dziecięce pieśczoty,
Powiędły oazu kwiaty,
Myśmy zostali sieroty.

Czyż przed losem zniżę czoła?
O! nie cofnę już wstecz kroku,
Bogu ufny tylko zgoła,
Zatamuję łzę w mém oku.

I gdy nie masz innej rady,
Dość pracy poświęć dłonie,
A wstępując w Ojców ślady,
Da Bóg, uweselem skronie.

O niebo, jak kollos, wsparci,
Kiedy wlepię w górę oczy,
Kiedy łaski będziem warci.
Bóg nam Opatrzność roztoczy.

Z.

1833.

Bóg obmyśla los sieroty,
Kiedy wiernie dąży doń,
Kiedy zwierza mu kłopoty,
On wzajem podaje dłoń.
Czy widzicie jak tam z góry,
Anioł zmierza złotopióry,
I wnikając do méj duszy,
Nad brzegami modréj Wisły,
Na mocy Boskich sojuszy,
Czyni ze mną związek ścisły,
Mówiąc: „Na tém wzgórzu stój,
„Ku niebu podnieś źrenice,
„Tu się twe orzeźwią lice,
„I łask Bożych spłynie zdrój.“
„Znowu (mówi) po téj dobie,
„Zasępi się wśród zamieci,
„A po krótkiej braci próbie,
„Promień jasny niebo wznieci.“
Odtąd pomnę, w każdej chwili,
W onéj rześkiej dni mych dobie,
Czy baczyście moi mili,
Jak mi Bóg dał ręce obie.

Wspierając ziemskie koleje,
Z onemi przeszłemi laty,
Złocił los, zdwajał nadzieje,
Sypiąc po drodze méj kwiaty.
O! błogie dni tych wspomnienie!
Kiedym pędził młody wiek,
Dziś mi zostało westchnienie,
Młodość znikła, skruszał człek.
Lecz serce to samo mam,
Dla téj lubéj uczuć strony,
I choć zgięty, ubielony,
Dla was zawsze, tenże sam.
Pamiętacie téż zapewne,
Śmiertelny Ojczyzny raz,
Kiedym płakał nad nią rzewnie,
Wyście téż płakali wraz.
Tam się losy jéj ważyły,
I serce nasze tętniło,
Coś dobrego jeszcze śniło,
Wreszcie godziny wybiły,
Znikł ten dla nas urok miły,
Zdrady po zdradach nastaly,
Wawrzyny nasze wędniały,
I choć zaszły krwawe boje,
Za nic walecznych krew — znoje,
Aż dzień nadszedł ów złowrogi,
Kraj zmienił w ciernia i głogi.
Symbol nadziei bogaty,
Co mą duszę opromienił,
Jak dziewiczy wdzięk się zmienił,
W więzienia ciemnego kraty.
Lecz znów anioł złotopióry,

Do ratunku cnoty skory,
 Złamał wrzeczadze — łożów zdroju,
 Oliwną różczką spokoju,
 A nadwiślańskich gór skały,
 Echem dzięki Bogu grały.
 O! hańbo, powiedzmy sobie,
 Mało hartu i brak wiary,
 Godzien wyrzutu bez miary,
 Kto Ojczyznę złożył w grobie.

Doświadczeniem długim wsparci,
 Pełni nadziei, uroku,
 Zaszczytów i sławy warci,
 Dziś nie stąpicie wstecz kroku, —
 Brak siły, jest wiara — krzyż,
 Do tych wytrwałości trzeba,
 Ku nim się Polaku zbliż,
 Wskażą ci drogę do nieba.
 Nie dość że się coś zaczęło,
 Że się raz na coś poświęci,
 Lecz trzeba do końca chęci.
 Dobry koniec wieńczy dzieło.
 Oto błysnęło zaranie,
 Czyż naszych nie przejdzie sił,
 By osiągnąć zmartwychwstanie?
 Wierzmy, że człek, to nie pył.
 Duchem iść, duchem się piąć,
 A stałość dzieło ocali,
 Bóg kamień grobu odwali,
 Aby lud do nieba wziąć.

Słuchajcie rycerze młodzi,
 Z za tych gór nadzieja świeci;

Dalój! rąco polskie dzieci,
 Odważny Alpy przechodzi.
 Nie splugawcie dziejów karty,
 By wiek późny nie powtórzył,
 Ze Polak pod młotem ztchórzył,
 Nie godzien zaszczytów Sparty.

Jak sternik w duszy niezgięty,
 Choć czarna burza nadchodzi,
 Puszcza okręt na odmęty,
 I nadzieję w sercu rodzi.
 Sterując rudlem wesoło,
 Losowi stawia swe czoło,
 Tak Polak w tej świętej sprawie,
 Płynący na szczęścia nawie,
 Nigdy o los się nie pyta,
 Czy się zmracza, albo świta,
 Wieszczy że choć się zachmurzy,
 Jasność nastaje po burzy.
 Tak było i w onej chwili,
 Którą jużesmy przeżyli,
 Choć się świat już na nas walił,
 Duszę zajęła tęsknica,
 Zbladły rozpaczliwe lica . . .
 A jednak nas Bóg ocalił.
 Jeszcze dotąd w duszy slysze,
 Usterkiwań ciężar cały,
 Naszych hufców, serca drgaly,
 Przerywając wrażeń ciszę.
 Nie takiego losu warci,
 Polykając z żalu słowa,
 Na orężu sławnym wsparci

Myśleli: „Polsko bądź zdrowa!
 „Gdy nie może być inaczej,
 „Opuszczamy matki łono,
 „Bądźcie zdrowe dzieci, żono,
 „Idziem wieść żywot tułaczy.
 „Może kiedy choć powoli,
 „Skróci Bóg nam dni niedoli,
 „Że po długiej tu zamieci,
 „Gwiazda nadziei zaświeci,
 „I słodząc dni tęsknych chwile,
 „Da nam się połączyć mile.
 „A jeśli zakłęta fata,
 „W tęskni każe spędzić lata,
 „Choć po naszym gdzieś tam zgonie,
 „Zabierzcie ojca ostatki,
 „I w ojczystej ziemi łonie,
 „Złóżcie jak dziecko u matki.“
 A wtem trąby hasło dały,
 Szedł z Ojczyzny korpus cały.
 I ze straszną losów próbą,
 Uniósł drogą pamięć z sobą.

Jakże przeto wspomnieć miło,
 Na mój w stronie tamtej byt,
 Prawdziwego szczęścia syt,
 Mówcie, co się tam zmieniło?
 Mówcie druchy oniej doby,
 Lecz próżno wołam na was,
 Świeże tylko sterczą groby,
 Druchów moich uniósł czas. —
 Czy kto zmarły, czy kto żywy,
 Ja mam jedną dla was dań,

Dla żyjących stale tkliwy,
 Zmarłym pacierz, wśród łez — lkań.
 Wznawiam sojusz przed mym zgonem,
 A choć się człek ledwo chwieje,
 Pociescie się choć tym plonem,
 Że się duch mój niestarzeje.

Mówcie ludzie oniej daty,
 Rzeknij każdy coś mię znał,
 Jaką zmianę z tyłu laty,
 C. as wicherzący wśród was dal?
 Pomnicie też i igraszki,
 Mające na celu fraszki,
 Wszystko-to w niewinném kole,
 Czy-to praca, czy swawole,
 Bez grzechu, uprzedzeń, wad.
 Minęło to wszystko prawie,
 Że tylko pamięć na jawie,
 Reszty nawet ani ślad.
 Lecz jeszcze tam coś droższego,
 Miły druchu, choć krok zrób,
 Wśród was szczątki ojca mego,
 Tam tkwi drogi jego grób.
 Obok drzwi świątyni pana,
 Tam się mieści czarny głaz.
 Wieczna serca mego rana,
 Zmów zań pacierz ze mną wraz.

Wiedeń.

1840.

Ej, niech się tam co chce plecie,
Po głowie trzy po trzy komu,
Dobrze jest tam gdzieś na świecie,
Ale lepiej zawsze w domu.

Każdy co chce sobie chwali,
A ja wręcz mówię bez sromu,
Byłem wśród Niemców, Moskali,
Jednak lepiej zawsze w domu.

Zdala zawsze coś się święci,
Jakaś niespodzianka czeka,
Tu ciepło, tam w nosie kręci,
Raz parzy, znów mróz dopieka.

Niechby się tam wreszcie działo,
Krępując człowieka żądze,
Ale jak dadzą jeść mało,
I to za własne pieniądze.

O zapewne smutek bierze,
Warto nawet téż i gromu!
Tak powiadam bracia szczerze,
Ze najlepiej siedzieć w domu.

Lecz dostatkiem przesycony,
W zbujaléj myśli przelocie,
Tęskni zawsze w obce strony,
Choćby w Polsce chodził w złocie.

Potém jak straci pieniądze,
Zgryziony i wywiędniały,
Uczuje do domu żądę,
I to na spoczynek stały.

Rodacy, cóż nam potrzeba?
Próżno szemrać się nie godzi,
Mamy podostatek chleba,
Nasza ziemia wszystko rodzi.

Chyba w tém niebiańskim kraju,
Bies do grzechu kusi człeka,
Tak dopieka, tak dopieka,
Aż Adama wyprze z Raju.

Co do mnie nie znam tęsknoty,
Coby mi po głowie grała,
Zniosę tu łatwiej kłopoty,
Gdzie się mieści rozkosz cała.

Gdzie rodzina, własna praca,
Śmieje się bez głowy łomu,
Uprzyjemnia i z bogaca,
Nie w cudzym, lecz własnym domu.

Nie mówię ja jednak przecie,
Żeby zawsze w domu siedzieć.
Potrzeba czasem na świecie
Gdzieś co lepszego wysledzić.

Lub też w jakiej zlej potrzebie,
 Dzieje się równie inaczej,
 Gdy wróg z domu wyprze ciebie,
 Trzeba wieść żywot tulaczy.

Zawsze jednak, kiedy cicho,
 Gdy Opatrzność złe ukruci,
 Kiedy djabeł weźmie lichy,
 Rad człowiek do domu wróci.

I ja ciekaw co się święci,
 I czego widzieć nie mogę,
 Nabrałem do Wiednia chęci,
 I żwawo ruszyłem w drogę.

Jadę, jadę, zamysłony, —
 Wszystko odmienne w okolo,
 Tam niskie, znów wzniosłe strony,
 To raz smutno, znów wesoło.

Aż zagnała w pięknej dolinie,
 Bystry Dunaj szparko leci,
 Za nim Wiedeń lyśnie, ginie,
 To znowu wieżami świeci.

Piękna stolica cesarza,
 I pamiętna od tej chwili,
 Zawsze nam w myśli powtarza
 Jak za nią nasi walczyli.

A za nas któż stawi czoło?
 Kiedy się krew polska leje,
 Cicho wkoło, cicho wkoło,
 Mijają nasze nadzieje.

Marya Teressa cała,
 Będąc płci, cesarzów wzorem,
 Rzewnemi łzami płakała,
 Nad biednej Polski rozbiorem.

Cesarzu Niemiec wspaniała,
 Przeleknij się Bożej kary,
 Gdyby się tve nogi chwiały,
 W obronie wspólnej nam wiary.

Bóg powierzył ci kotwicy,
 Prawego Kościoła nawy,
 Stój mocno na jej dzielnicy,
 Dla Boga i własnej sławy.



Kraków.

1845.

Grodzie Krakusa! znajomy przed laty,
Świątńco sławy starego Sarmaty;
Któraś jest duszy i serca żywołem,
Wita cię Polak z pochylonem czołem.
Każdy krok w świętej pielgrzymce podjęty,
Jakże jest wzniosły, jakież ma ponęty.
Wskazując dziadów naszych przywileje,
Rodzi otuchę, podwaja nadzieje.
Tu Bóg z ojcami chodząc zawsze w parze,
Szerzył swe łaski, wystawiał ołtarze.
On dobre dzieci miał zawsze na oku,
Kapał je w złotych łask swoich potoku.
Na górze Wawel blisko Wisły łona,
Błyszczą katedra w dziejach wysławiona.
Jój baldachymu wspaniale sklepienia
Ponad tą arką, czepiają swe cienia;
Gdzie królów naszych spoczywają ciała,
Głazy zczerniałe dzierżą ich pamiątki,
Ożywczą postać biorą martwe szczątki,
Bo je ogryzewa cnota, męstwo, chwała.
Tak późne wnuki widząc ten ślad miły,
Do wielkich zadań nabierają siły.

Zaledwie stąpisz krok jeden z podwoi,
Wznosi się tronu tam Golgota krwawa,
Na niej wzniesiona srebrna trumna stoi,
W niej relikwije święte Stanisława,
Który za Naród walcząc należycie,
Bogu dał ducha a rodakom życie.
Bóg też dla zasług polskiego anioła,
Grobowce Królów postawił do koła,
I całą przeszłość ku sławie narodu,
Zgromadził razem u stóp tego grodu.
Pierwszy tam dziaduś co nam wpada w oczy,
Gdzieś pod świątynią na kiju oparty,
Nie jedną rzewną pamiątkę przytoczy,
Dzieje narodu czytając jak z karty.
Ej! miły starcze pochylony z laty,
Świadom ubiegłych wypadków widocznie,
Powiedz jak było tu przed antenaty?
On rozjaśnwszy czoło, mówić pocznie:
„Tu pierwszy Krakus, co ten gród postawił,
„Znanym fortelem smoczysko zadławił.
„Tu piękna Wanda, gdy Niemcem wzgardziła,
„W potokach Wisły siebie zatopila.
„Tu święty Wojciech w apostołskim stanie,
„W małym kościółku miał pierwsze kazanie.
„O! mam i więcej ciekawości wiele,
„To o Jadwidze, to znów o Jagielle;
„Ale czas krótki rachuje godziny,
„Dość że przez wiarę zespolił Litwiny.
„Tu syn Łokietka, co się Kazimierz zowie,
„Gmach sukiennice wystawił w Krakowie,
„On ludku swego bogactwa i miano,
„Chwytając za płóg, zamożnie podpierał,

„On w każdy kącik swego kraju wdzierał.
 „I ztąd go słusznie „królem chłopków“ zwano.
 „Błogie wspomnienie, stroi mu mogiłę,
 „Że w ponizonej kmiotekzów postaci,
 „Widział swe szczęście, rękojmię i siłę;
 „Lud pracowity mając za swych braci.
 „Niepostał w królu szał dumy jałowy,
 „Deptać poddanych, obciążać w okowy,
 „Łać krew bezkarnie, niszczyć ludzkie plemię,
 „Wiedząc że czeka za to niebios kara,
 „Jak Babilonu króla Baltazara,
 „Co tracił ludzi i odłożył ziemię.
 „Aż mu Bóg wyrył litery na ścianie,
 „Obwieszczające śmiercią ukaranie.
 „Po cóż wspominać gdy czasy minęły,
 „Jakie bogactwa były temi laty,
 „Kiedy Wierzynek częstował magnaty,
 „To się od złota, srebra stoły gięły.
 „Patrz, Maryacka wieża wpośród grodu,
 „Piętrzy się w obłok, krzyżem jasno świeci,
 „Wieki strawiła, jak ów kolos rodu,
 „Z niej trąbka hasło śmierci w sercach nieci.
 „Wiecie jak Stefan z Moskalów krainy,
 „Sobieski z Turkiem krwawe tocząc boje,
 „Zbierali sławę, zbierali wawrzyny,
 „To raz za obce sprawy, znów za swoje.
 „Tak polski naród wśród sławy przestworza,
 „Chleba zamorskim krainom użyczał,
 „A swoją własność od morza do morza,
 „Z żelaza lane słupy ograniczał.

„Lecz zazdrość patrząc na szczęścia budowę,
 „Zgrzytnęła zębem w postaci meduzy,
 „I tę zbawienia i chwały osnowę,
 „Młotem przemocy obróciła w gruzy.“

Starzec trafiwszy na ten zdarzeń wątek,
 Zachwiał się cały, uronił łzę w oku,
 Wyrzekł: „niepowiem już więcej pamiątek.“
 Cała się postać zmieniła w proroku,
 Ale ostatnie przyzywając siły:
 „Radbym — rzekł — jeszcze pożyć na tym świecie,
 „Abym mógł wolną Polskę ujrzeć przecie,
 „A potem słodko zstąpić do mogiły.“
 Wtem się na wieży odezwały dzwony,
 „Bóg z wami bracia! idę pochylony,
 „Głazy świątyni strugiem łzów porosić,
 „I o los lepszy dla Ojczyzny prosić.“

B.

1856.

Prują tratwy dziarsko wodę,
Brzmi po Bugu kurpiów głos,
Czuje tkliwo dziewczę młode,
Jakiś w sercu swoim cios.

Mów kurpianko modrooka,
Jaki duszy twojej żal,
Co go ślesz do wód potoka,
By ulatał z wodą wdal.

Tu twe rodzice, zagroda,
Nieponiosłaś serca strat,
Nad wszystko hoża i młoda,
Jak gdyby majowy kwiat.

Biała jak lilji kielichy,
Twe oczy brylantu żar,
Strzał serca, wdzięczne uśmiechy,
Twa piosnka, słowiczy gwar.

Strojna w gorset, skaplerz, zgoła,
W kruczych włosów piękny splot,
To obraz czysty anioła,
Zamożna skarbnica cnot.

Na to dziewczę zapłonione:
„Oto płynie tam mój brat,
„W świata nieznajomą stronę,
„Nie pojmujesz moich strat.

„Może w nurtach bystrzej rzeki,
„Znajdzie dla się zgubną toń,
„Nim się rozstaniem na wieki,
„Wzdycham raz ostatni doń.

„A tu stare ojce w domu,
„Twą uwagę zwrócić racz,
„Już nie będzie robić komu!“
I znowu dziewczyna wplacz.

Osusz źrenice splakane,
Zwróć do nieba tęskny głos,
Tam kłopoty Bogu znane,
Znany twojej duszy cios.

Wtem się ozwał dzwon na wieży,
Dziewczę zadumane tak,
Do kościoła lekko bieży,
Na ten chwały Bogu znak.

Srebrnymi łzami łysnęła,
Wznosząc w górę korną dłoń,
I szczerze się modlić jąła;
„Boże brata mego chron.“

Pan wysłuchał jęj pacierze;
Brat wrócił w domowy próg,
Bo dziewczę prosiło szczerze,
Więc go też ocalił Bóg.

B.

1863.

Stary kurp na kiju wsparty,
Zbywając z serca tęsknice,
Uweselił blade lice,
I rzekł: „Widać to niezarty.

„Bo przeżywszy tyle wieku,
„Od możnych wzgardzony stale,
„Dziś widzę inaczej wcale,
„Nikt nie śmie uragać czleku.

„Wszakże oto i w tej chwili,
„Widząc lud w Bożej postaci,
„Uznali nas za swych braci,
„Szlachta jak się namyśli.

„Boć i prawda ręce dają,
„I w czem mogą są laskawi,
„Niechże ich Bóg błogosławi,
„Że się tak z ludem bratają.

„Takiśmy przedtem ład znali,
„W te niegdy szczęśliwe wieki,
„Z ludem książe Szembeki,
„Jak Ojcowie się bratali.

„Ale bies ta sztuczka kusa,
„Widząc miłość naszych braci,
„W zradnego węża postaci,
„Splatał ludzkości psikusa.

„Aby zatruc nasze losy,
„Szlachtę przemienił w straszidło,
„Podniosła do góry nosy,
„Myśląc że ludziska bydło.

„Aż w końcu pod cierpień młotem,
„Ztłumił człek ludzką naturę,
„Występki jęły brać górę,
„I czem jest zapomniał o tém.

„Z różnej strony szczęścia tropił,
„Nie znalazł, pytał co znaczy?
„A oddając się rozpaczy,
„Niedolę w trunku utopił.

„Bóg przecię, spojrzal na ziemię,
„Widząc dróżynę zgnuśniałą,
„Dał uczuć enot wartość całą,
„Dźwignął jemu mile plemię.

„Nawet oto Izraela
„Zakon cię z nami kojarzy;
„Zróćmy przesąd od lat wiela,
„Miłość niech serca rozzarzy.

„Wszakże oni w każdej chwili,
„Wśród Babilonu niewoli,
„Czują dobrze co nas boli,
„Bo tu z nami się rodzili.

„W tej ukorzonej postaci,
 „Wypogódźmy ku nim skronie,
 „I wzajem podając dłonie,
 „Znajmy ich za swoich braci.

„Zbierzcie się w gromadkę dzieci,
 „Przyszłedł czas dźwignąć się z toni,
 „I kiedy nam łaska świeci,
 „Silnie ją trzymajmy w dłoni.

„Za nic biesa czujność wściekła,
 „Niechaj jak chce nami kręci,
 „Wiemy dobrze co się święci,
 „Zkusi i popchnie do piekła.

„Ty synu jeden i drugi,
 „Przybrani w ojców sojusze,
 „Wasze serca, wasze dusze,
 „Nieście dla kraju usługi.

„A ty córko ulubiona,
 „Daj w pracy ojcom zadatki,
 „A trzymając się cnót matki,
 „Wiedz żeś Polką jest zrodzona.

„Teraz moi przyjaciele,
 „Których Bóg losy ocalił,
 „Aby je nadal ustalił,
 „Pójdźmy go błagać w kościele.

„Którego nam wiara świeci,
 „Boże prosimy w niedoli,
 „Ty wiesz dobrze co nas boli,
 „Więc poratuj swoje dzieci.

„Niesiem ci za nasze długi,
 „Pokorne w daninie dusze,
 „Odnów z nami tve sojusze,
 „Zatop grzech w krwi naszej strugi.“

B.

1864.

Losu marnego igraszko!
Ale spuszczam się na los,
Rzuci mną zdała czy blisko,
Zgoda, szczęście, czyli cios.

Bez szemrania z Boga ręki,
Miły, dobry czy zły dział,
Będę zawsze składał dzięki,
Za to co mi w darze dał.

Życzyłbym jednako przecie,
Zebrząc go, uprosić coś,
I tego doczekać w świecie,
Że się losu zwróci oś.

Abym wprzód nim skończę życie,
Polski szczęsny widział byt,
Tem nagrodzony obficie,
Mógłbym umrzeć szczęścia syt.

Abym w mojej matki grobie,
Na wieczny spoczynek legł,
Tych druchów mając przy sobie,
Z którymi mi żywot zbiegł.

Tobie ludku ukochany,
Przy drzwiach grobu rękę dał,
I łzami miłości złany,
Ostatni rachunek zdał.

Z wamim spędził drogie chwile,
Jak dzień jeden tyle lat,
Wy drodzy na mój mogile,
Z łzą złożycie wspomnień kwiat.

Czyż go świat zazdrościć może?
Wszak on dłuższej pracy plon,
Za całą nagrodę, Boże,
Współczuciem mój odznacz zgon.

Rodzino, przywykły z tobą,
Rozstać się to duszy gład,
Okryta po mnie żalobą,
Zapłacz nad mym grobem wraz.

Kiedy wiosnę maj ustroi,
I nasza zakwitnie błoń,
Choć raz przyjaciele moi,
Odwiedźcie tę zmarłych chroń.

Na pustkowiá tém kurchanie,
Siejcie kwiatów świeżych puch,
Znając to o mnie staranie,
Urąduje się mój duch.

Zmówcie pacierz na mogile,
Ten dla duszy drogi dział,
Pomną wdzięcznie owe chwile,
Kiedym za was prośby siał.

Głos do Boga.

Co jesteś, wielki Jehowo,
Potężny Eloim, Boże!
Którego świat, stwarza słowo,
Niebo, stanowi podnoże,
Alfa, Omega i Panie,
Spojrz na łzy, wstrzymaj karanie.

Zboczyliśmy od Twój woli,
Tyś błędy karą ukrocił,
Podał nas w jarzmo niedoli,
I w krańce świata rozrzucił.
Alfa, Omega i Panie,
Spojrz na łzy, wstrzymaj karanie.

O! złości naszej zadatki,
To są znamiona niełaski,
Gnały nas w lody Kamczatki,
W gorące Afryki piaski.
Alfa, Omega i Panie,
Spojrz na łzy, wstrzymaj karanie.

Znamy się grzesznymi wiele,
Nieśmiejąc ocz w górę wznosić,

Lecz w włościennicy, popiele,
Idziemy litości prosić.
Alfa, Omega i Panie,
Spojrz na łzy, wstrzymaj karanie.

Świadom Twojego cudu,
W potężnej ródzce Mojżesza,
Dziś garstka polskiego ludu,
Do Twych stóp zebrząc pospiesza.
Alfa, Omega i Panie,
Spojrz na łzy, wstrzymaj karanie.

Jutro z górnych niebios tronu,
Ledwo tchniesz na Twoje dzieci,
Adonaj Boże Syonu,
Złota wolność nam zaświeci.
Alfa, Omega i Panie,
Spojrz na łzy, wstrzymaj karanie.

Wdzięczni doznanej potęgi,
Z żrzenicą łzami zalana,
Czytając Ezdrasza księgi,
Ujrzem ziemię obiecaną.
Alfa, Omega i Panie,
Spojrz na łzy, wstrzymaj karanie.

Potargaj nasze kajdany,
Pod skrzydłami Twój opieki,
Bolesne zagój nam rany,
Szczodrych łask użyż na wieki.
Alfa, Omega i Panie,
Spojrz, na łzy, wstrzymaj karanie.

Twardość granitu nadzieje,
Nasza wiara to hart stali,
Z Bogiem duch się niezachwieje,
Choć się i świat na nas zwali.
Alfa, Omega i Panie,
Spójrz na łzy, wstrzymaj karanie.

Nadzieja.

Mężnej Helenie B...

Ty, coś w odważnej Spartanki postaci,
Na śmierć wiedzionym osładzała znój;
Coś z rąk satrapów wyrywała braci,
W obrazie Polek, poznaj własny twój.

Lza, co jak brylant świeci na twojej skroni,
Wiara — co w sercu nie przestaje tlić;
W świętej idei, orła i pogoni,
Wieniec pamięci będzie dla cię wić.

Nadzieja.

1.

Gdy świat *in crudo* wpośród żądz zamieci,
Sledził omackiem najwyższej istoty;
Czepiał chaosu, trafu i niecnoty,
Już znały Boga Izraela dzieci.

Nawiedza Mojżesz Judumei kraje,
Tylko jednego Jehowę w głos sławi;
Ofiarę w Bethel i Dan mu oddaje,
A ogień z nieba chłonie ją i trawi.

Zatrzymaj wodzu kroki posunięte —
Zdejm z nóg twych obów, postąp gołą nogą,
Mojżeszu! miejsce gdzieś stanął jest święte, —
Cofnął mąż Boży, napełniony trwogą.

Utkwił Bóg różgę w posłannika dłoni,
Zniżył ku woli jego i obłoki;
Wystrzelił światła jaśniejące z skroni,
I z skały sączyć pozwolił potoki.

Obietnic Boskich z Synai dziedzice,
Ku nim mąż święty w majestacie splywa;
Bóg mu przykazań swych zwierza tablice,
A on lud spełniać takowe przyzywa.

Wierny Izrael czepia je u skroni,
Z niemi przechodzi wicherzące koleje —
Zwycięża losy, dziedziczy nadzieje,
W więzach się cieszy, piastując je w dłoni.

I kiedy stęka pod niedoli młotem,
Boso w siermiędze swego Boga sławi;
W głodzie się karmi, bo wie dobrze o tem,
Ze dziś — czy jutro, Jehowa go zbawi.

Od niego z więzów Egiptu wyrwany,
Do swej ojczyzny ręce zmierza kroki;
Ciało Józefa dzwiga łażą zalany,
A morskie przed nim dzielą cię potoki.

Plemię Jakuba Jehowie naiwne,
I on się spolił ze swoją dróżyną, —
Działał w potrzebie dla nich cuda dziwne,
Płakał nad miasta świętego ruiną.

Dzisiaj tułacze i świat ich mieszkaniem,
Żyją nadzieją, gojąc serca rany —
Płyną w modlitwie wieczór czy zaraniem,
Ze drganiem serca do Pana nad Pany.

Sledzą nadziei, choć w tułaczym bycie,
Nie tusząc innej dla siebie korzyści —
Nad tę, że ufni Bogu należąycie,
Który im pewno obietnice ziści.

2.

Jeremiaszu! coś ich goił bliźny,
I coś nad nimi toczył łyżę w pokorze;
Zaplacz w niedoli Polaków ojczyzny,
Równając los nasz Żydów metaforze.

Jeszcze naddziady błędne czcili bogi,
I mgławo w nieba wzierali granice —
Zwiastony Boskie wchodząc w Piasta progi,
Wielkich mu zadań dali obietnice.

O! on cię zdumiał obcy woli Bożej,
Rad z serca gościom strawą ich posila —
A Bóg nieznaną pokarm i miód mnoży,
Bo odrodzenia nadeszła już chwila.

Wnet się zjawili Cyryl i Metody,
Na Łysej-górze tkwią krzyż bez odwołki —
Źródeł zbawienia na polskie narody,
W rozliczne strony tryskają potoki.

Lud polski z wieków wierny Pańskiej woli,
Dla marnych zysków nie wicherzył sumieniem;
Lecz w ojcowitej przewracając roli,
Chwalił Opatrzność pod swej strzechy cieniem.

Nie łał krwi bliźnich przez chciwość bezkarnie,
Ani na cudzą własność kiedy godził;
Ale jak Józef ze swojej spiżarni,
Posiłał głodnych, biednych dołą słodził.

Jeżeli dobył z pochew swej szablidy,
To na obronę tylko własnej wiary —
Lub na obronę ojczyznej granicy,
Rozwijał z godłem krzyża swe sztandary.

3.

Ale byt błogi i cnót drogich wiano,
Chciwe cudzego obudził sąsiady —
Wnet ziemię naszą hordami zalano,
Naród niewinny włokąc do zagłady.

Wtenczas w rozpacz broniąc prawa swoje,
Własną ojczyznę podźwigając z toni —
Ciężkie z wrogami toczyliśmy boje,
Ważąc los kraju na ostrzu swej broni.

Po długich walkach przemocą znękani,
Zewsząd żarłoczne ujrzeliśmy kruki —
Ażeby naród z karty wymazany,
Jako umarły rozszarpać na sztuki.

Był-to sen marny — bo naród nie zginie,
W którego sercu miłość kraju pała,
W którego wnukach ta sama krew płynie,
W duszy drga wolność, swoboda i chwala.

Wszystkiem ta sama idea przodkuje,
I do walk nowe bohaterzy rodzi;
Gdy jeden ginie, drugi następuje,
I na ciemięzców ojczyzny swej godzi

Niech trupem polskim wróg ziemię zaściele,
Zamieni w guzy nasze wsie i miasta —
Wnet nowe ujrzy krzywd polskich mściciele,
W tem pokoleniu, które dziś dorasta.

Tą powinnością każdy z nas przejęty,
Odważnie czoło wrogowi postawi;
Rzuci się śmiało w świeżych walk odmęty,
I albo zginie lub ojczyznę zbawi!

4.

Chwilowo tylko matka nam skonała,
I na świat cały rozpierzchnęły się dzieci —
Zwiędły wawrzyny i uciechła chwala,
Ale Bóg żyje i nadzieja świeci.

Czuje plemienia prawego niedole,
Widzi krwi strugi, więzienia, kajdany;
Miał, wsi pożary, zdołżone pole,
Smutną żałobą naród przyodziany.

Widzi niewiasty w niewolę zagnane,
W sieroctwie marnem pocziwe rodziny;
Dziatki od łona matek oderwane,
Gnane Sybiru zaludniać krainy.

Widzi po ziemi sterczące mogiły,
Na rusztowaniu młodzieży ostatki —
Wiatrem rozsiane dziatwy polskiej pyły,
Albo zmrożone na lodach Kameczatki.

Wie Bóg co cierpi wiara jego święta,
Zna Kościołowi straszny gwałt zadany;
Widzi kapłanów obciążonych w pęta,
I świętokradzką ręką krzyż złamany.

Rzeknijcie zgłiszczą — mówcie zimne groby,
Wieki ubiegłe wśród mąk i bezdroża —
Czy Bóg zapomniał o nas wpośród próby,
I lud nieszczęsny minie łaska Boża?

Narodie! nie to twoje przeznaczenie;
Z modlitwą w ustach, z mocną w sercu wiarą,
Za krótką chwilę wierz w twoje zbawienie,
I w swych ciemnościach startych Bożą karą.

Ta łzawa rosa co w źreniach świeci,
U polskiej Rachel, srogich ran zadatki,
To gorzkie łkanie, po rozłące dzieci
Naszych Spartanek: żony, siostry, matki:

To konająca łkań wpośród żaloby,
Ostatnie amen smutnego pacierza,
Krok pogrzebowy między bratnie groby,
Gdzie karmicielka jęk rodzinie zwierza.

To hołd spokoju, co płynie w mogiły —
To mężnych Judyt, w spółczucia dowody,
Polek walecznych — co im wieńce wily,
Palmy dziewicze — na niebieskie goły.

Gwiazda polarna w błękitcie zarania,
Którą Bóg wieków na niebiosach pali;
Promień nadziei, godło zmartwychwstania,
Co ciężki kamień grobu nam odwali.

Uchwyémy za krzyż! biedni niewolnicy,
Swobód jutrzienka na niebiosach wschodzi,
Ze łzą wdzięczności w splókaną źrenicy;
Patrzcie! wódz Boży Mojżesz nam nadchodzi.

Bóg mu powierzył różgę wybawienia,
By do ojczyzny wiódł lud ukochany;
Wprowadził syny polskiego plemienia,
W święte granice ziemi obiecanej.

A! Armenio nasza — polski kraju!
Luba Ojczyzno, Tarentu skarbnico;
Memfis i Teby, o! ziemski nasz raj,
Stałej nadziei i szczęścia kotwico!

Kolebko nasza, domie nasz i grobie,
Rychłóż Cię ujrzem, hożą jak przed laty?
Pośpiesz Mojżesz! a my wdzięczni tobie,
Po twojej drodze słać będziemy kwiaty.

Głos Polaka.

W Paryżu 1864 Roku.

SZANOWNEMU OBYWATELOWI

PRAWEMU SYNOWI POLSKIEMU

HIERONIMOWI BOŃKOWSKIEMU

W ZAKŁAD GŁĘBOKIEGO SZACUNKU

OFIARUJE

AUTOR.

Głos Polaka

W Paryżu 1864 Roku.

Lecz gdyby przecucie wieszczę,
Które mię tak często ludzi,
Wróciło Ojczyznę jeszcze,
Byłbym najsześliwszym z ludzi.
Brodziński.

Jak głaz na sercu, każda drobna chwila,
Bo urok duszy tam gdzieś utkwil wdali,
Zawsze mi smutno, nic się nie umila,
Nikt wraz nie westchnie, nikt się nie uzali.
Ludu francuzki! składam ci podziękę,
Za twe uczucia dla męczeńskiej sprawy,
Drga twoje serce widząc upost krwawy,
I by nas dźwignąć wyciągasz swą rękę.
Czuję twą szczytność, Francyi stolico!
Siłę potęgi miasta z nad Sekwany,
Ale nie czuję ulgi lżą zalany,
Tułaczy pielgrzym do kraju z tęsknicą.
Tak w tej tęsknicy dusza gdzieś ulata,
Pnie się na skrzydłach umilając skronie,
Do lubej strony, do błęgiego świata,
Jak ptak wiosenny ku rodzimój stronie.
Jak dziecię tęskne, rosą lżów zalane,
Co nad świat łono matki swej przenosi,
Siłą przemocy z jej ręki wyrwane
Żałośnie kwili i o powrót prosi;

A gdy go wróca w pieśczoćne objęcia,
 Cóż to za rozkosz dla matki, dziecięcia! —
 Tak mnie blask świata dzisiaj nie umiła,
 Ani się moje złagodzą rozpaczę,
 Aż się uśmiechnie fortunniejsza chwila,
 W której mą lubą ojczyznę zobaczę. —
 Gdy ujrzę ziemię moją ukochaną,
 Mój domek luby, pola, strumyk kręty,
 Moją Ojczyznę krwią braci splókaną,
 Mojej kolebki i grobu ponęty.
 Ziemię męczeńską, która z palmę wiary
 Wielkiej idei dziś dopełnia miary,
 Ostatnią kroplę krwi i łzów dziś roni.
 Sniąc w dzień i w nocy symbol prześlągania,
 Śledzi pod godłem orła i pogoni,
 Błogie nadzieje swego zmartwychwstania.

Duchy mych przodków, powstańcie z mogiły,
 Wcielcie we wnuki choć olbrzymie siły,
 I nim się spełni ta wyrocznia cała,
 Oby tych poczuć lutnia nie przebrzmiała!
 Aby naddziadów zmladniając koleje,
 Polak jak granit stał zawsze gotowy;
 I choćby runął świat na nasze głowy,
 Niech nikt pod gruzem świata się nie chwieje,
 Lecz wyteżywszy kark w jarzmie stwardniały,
 Wstrzyma zwałiska, pioruny i strzały.
 Bóg śledząc stałość więźnia w Babilonie,
 Tehnie w zamęt świata, ciężar z barków zleci,
 Gwiazdę swobody na niebie roznieci
 I drogę wytknie ku rodzimej stronie.
 Plemie Sarmatów bądź zawsze gotowe,

Do krwawych ofiar w okupie swej matki,
 Pnij się do nieba przez ognie czyścowe,
 Przez czyny ducha i cnoty zadatki.
 Oto twój puklerz co poczucia wspiera,
 Rany Chrystusa, są to gwiazdy nieba;
 Ponosić męki i krzyże potrzeba,
 Gdzie cierpi ciało, lecz duch nie umiera.
 Bogu więc modły pošlemy gorące,
 Tehnie radość w piersi każdego dziecięcia,
 Ze po tak ciężkiej z Ojczyzną rozłące,
 Wróci tułaczów w rodzinne objęcia.

Na takie hasło, już ozywiam serce,
 Otrę lzy moje, chrztem cierpień polany,
 I już mi lepiej, w świata poniewierce,
 Duch wolno płynie, rwąc ciała kajdany.
 Posłuszny Bogu, ojczyźnie i wierze,
 Wytrzyma ognie trawiące w kraterze.
 Ni mi Sybiru lodownia zaszkodzi!
 Bo Bóg, Ojczyzna w pomocy przybędzie,
 Tam gdzie niewolnik złoto kopać będzie,
 Ciało omdleje a duch się odmłodzi;
 W głębi gór złotych kolos kując dumnie,
 Łatwiej lzy polknie, nędzę wyrozumnie.

Tak co Bóg zechce, korny Jego woli,
 Odetchnę nawet w najcięższej niedoli,
 I rzeknę choćby w śmiertelnej tęsknocie,
 Za Boga i kraj spełniając ofiarę,
 Niczem cierpień moich krocie,
 Mej powinności dopełniłem miarę;
 Spiewam nadzieję u grobu podwoja:
 Boże zbaw Polskę, stań się wola twoja!

Tęskna moja piosnka

w Krakowie 4 Marca 1864.

Zorza życia, łzy i lkania,
Dalej tęskny wiek,
Od kolebki do skonania,
W łzach się kąpie człek.

Oj niepomnę aby który
Dzionek tako był,
Coby jaśniał mi bez chmury,
Promień szczęścia tlił.

Pyłem jestem na tym świecie,
Zlepek Boże twój,
W duszy spokoj, czemuż przecię
Łzów nie oschnie zdrój?

Zdążam rąco do mogiły,
Krocząc w marny świat,
J uroniam resztki siły,
Jak w posusze kwiat.

Może włokąc dni tułacze,
Rychło ujrzę zgon,
Nikt nademną nie zapłacze,
W pośród obcych stron!

Pies chyba instynktem pchany,
Co myśl wieszczą krył,
Odnawiając ciężkie rany,
Smutno będzie wyl.

Bądź zdrowa rodzino droga,
Ludu bądź mi zdrów,
Tam na łonie pana Boga,
Zobaczem się znów.

Ty wiesz stróżu mój aniele,
Zem się grzechu bał,
I choć w drodze potknień wiele,
Zawszem prosto stał.

Jeśli śliznąć się zdarzyło,
W jaki popaść błąd,
Ku sprostaniu serce biło,
Aż przemogło prąd.

Pytam przeto: zkaąd me troski?
Życia cierpki dział?
Chybaby mię wyrok Bozki,
Wyprobować chciał.

O! nie zdradzę świętej wiary,
Zawsze dla niej tkliw;
Zdejm z bark Boże me ciężary,
Bom już ledwo żyw.

Cały świat, to olbrzym zbrodni,
Z nim nas w równi staw,
A ocenisz żeśmy godni
Wykonawcy praw.

I choć inni jak szkielety,
Zimni na twój blask,
Doznają jednak niestety,
Więcej twoich łask.

U nas symbol twoja wiara,
My jój korny lud,
Cięży jednak na nas kara,
Smierć, pożoga, głód.

Noc nadchodzi, ja krzyż robię,
Spiąc zaczynam śnić,
I nadzieję w duszy żłobię.
Przędąc złotą nić;

Próżno, próżno, bo na jawie,
Tęskny zawsze dział,
Ocykam się na to prawie,
Abym znów łyzy lał.

Takie życie, to konanie,
Boże, ratuj nas!
Skróć niedole nasze panie,
Zbliż zbawienia czas.

Wyciągamy do cię ręce,
Podaj nam twą dłoń,
Byśmy nie szemrali w męce,
Słaba nasza chroń.

Droga daleka do nieba,
Przebrmi żebrań głos,
Cierpieć biednym zawsze trzeba,
Coraz cięższy los.

Moc i złoto światem włada,
Reszta złudzeń szkie,
Marne plany, płonna rada,
Nie pomoże nic. —

Precz odemnie złudzeń mara,
I duszy nie gryź,
Jak gład twarda moja wiara,
Bóg nas wesprze dziś.

Sprawiedliwych on obroni,
Uchwycimy się enot,
Taki oręż w naszej dłoni,
Złamię zemsty grot.

Wiernych Bóg każe ominąć,
Czyniąc wet za wet.
Niezbożnik raz musi zginąć
I to zginąć wnet. —

A na pustkowie kurhanie,
Co go zmyła krew,
Z mogił wystrzeli zaranie,
Tam oliwny krzew.

Słowik druh uroczej strony,
W lot przyplynie tam,
Na gałązce zaczepiony,
Piosnkę zabrzmi nam.

O! ta piosnka serce wzruszy,
Jak wietrzyku ziew,
Tehnie pociechę smutnej duszy,
Bo to Boży śpiew. —

Orzeźwi rodzinne strony,
A gdzie odlóg stał,
Znowu rolnik pochyłony,
Będzie zboże siał. —

Ziemia święta się odmłodzi,
Aniół mówi mój,
Złoty plon trudy nagrodzi,
Długie lzy i znój. —

Zabójczy miecz tam nie błysnie,
Bóg go złoży w dłoń
Archaniola, co uściśnie
Smutną ludu skroń.

Postawiony na strażnicy,
Chwyci dany miecz,
Aby na polskiej dzielnicy,
Utrzymywał piecz.

Na grobach gdzie braci szczątki,
Strzeli róży kwiat,
Ubarwi drogie pamiątki,
Oplakanych strat.

I ja ochłonawszy z biedy,
Swiadom końca męk,
Chwycę znowu lutnię wtedy,
Budząc struny wdzięk.

Pierwszą strofę tobie złożę,
Pierwszy pošlę głos,
Żeś osłodził wielki Boże,
Twego ludu los. —

Wielki piątek.

25 Marca 1864 r. w Monachjum.

Moja ty ziemio splukana krwią braci,
Dziewico czysta grzechem niedotknięta,
Moja ty ziemio, moja ziemio święta,
Zabłyśnij dla mnie w jakiejś postaci;
Czy to aniola zwiastuna w obłoku,
Czy to gołąbka co w dzionek szczęśliwy,
Widząc błyszczącą łzę zawsze w mem oku,
Niesie pociechę pnąc z różeczką oliwy;
Czy też w jakowej postaci planety,
Która podąża żwawo do tej mety,
Jako jutrzienka z górnych niebios łona,
Gdzie nieszczęśliwy lud w pośród męk kona
A świat zdziczały nieczuły na jęki,
Szydereco patrzy w upiora postaci,
Pruje zbolale serca własnych braci,
I w konwulsyjnych drganiach nie da ręki.

Kiedy to marzę, w zwilżonej źrenicy,
Jakaś gwiazdeczka mignęła zarania...
Gwiazdeczko luba, tkliwa na me łkania,
Nie wierzę, o nie, twojej łyskawicy:

Bo wieleż razy tym blaskiem ludzony,
 Wlepiałem oczy za tobą w te strony,
 Kędy się urok mojej duszy wcielił,
 Gdzie pierwszy odbłysek dni moich wystrzelił,
 Gdzie wzdycha serce tłoczone cierpieniem,
 O! nieożyłem pod twoim promieniem.
 Błędna gwiazdeczko! płocha wróżko losu,
 Bujasz szyderezno między miryady,
 A twoje lica mijają te ślady,
 Gdzie ziemia cała w kurhanu postaci,
 Błyszczą krwią naszą i grobami braci.
 Wietrzna, nieszczęsnych nietykając sprawy,
 Lecisz w przezroczu błękitnej krainy,
 Naksztalt spokojnej oceanu nawy,
 Unosząc szczęścia i fortuny syny;
 I coż że twoja twarz z góry jaśnieje,
 Gdy ziemi naszej zmarzłej nieogrzeje?
 O, ty macocho, której twarda ręka,
 Od łona matki dzieci oderwane,
 Bolesną różgą co raz straszy, nęka,
 Pomiata marnie, srebrną lżą zalane,
 Tak, pieszczotami kochanka ludzona,
 Prawdą miłością nie tętni twe serce?
 Czy ogień czucia masz chociaż w iskierce,
 Gdy od zimnego odpychasz je łona?
 Zagaśnij gwiazdo, abyśmy olśnieni
 Twoim uśmiechem niebyli ludzeni,
 Od płonnych wrażeń pozostając w dali,
 Smutne koleje upadku przespali.
 Noc tylko sama mając nas na względzie,
 Złotą nić biednym na chwilkę uprzedzie,
 Zeby choć we śnie męczenników siły

Po ciężkich razach jeszcze się wskrzepiły,
 Nim jaka z planet, przerywając ciszę,
 Wdzięczne oblicze ku nam wykołysze,
 Tym czasem dusza do góry popłynie,
 Obwieści niebu, że nasz naród ginie,
 Prosząc litości przy złożonej dłoni,
 Dobrego Boga miłosierdzie skłoni,
 On prośb wysłucha i zmiękczoney snadnie,
 Rzeknie — i wyrok zbawienia zapadnie,
 W sercach Polaków nadzieję roznieci,
 I po tułaczce matkę ujrzą dzieci . . .

O! wielki piątku, czyliż nam się niegodzi,
 Nawet zamarzyć jaskrawe widoki,
 W ten dzień pogrzebu, gdzie po nad obłoki,
 Smutny głos śmierci Zbawcy się rozchodzi?
 A my występni, którym ciężą grzechy
 Smiemyż jakowej wyglądać pociechy? —
 Zagaśnij gwiazdo, a z brzemienia chmury
 Niech do łzów naszych, gromy biją z góry,
 Aby raz dusza chrztem pokuty złana,
 Choć w dzień tak straszny była prześlągana,
 A kiedy grzechów lżą Bóg rejestr zmyje,
 Wtenczas niech nasza nadzieja odżyje,
 Zabrzmi dzień paschy wśród radosnej chwały,
 A z nim ty gwiazdko, ty jutrenko rana,
 Zaświeć pogodnie, zaświeć prześlągana
 Gdy nas sieroty Chrystus zmartwychwstały,
 Szybiąc do nieba z mogiły ukrycia,
 Powoła razem do nowego życia.
 Nuże młodzieży, rozjaśnij zrenice,
 Pasuj do boku Chrobrego szablicę,

Abyś dobywszy oręż zardzewiała,
 Wskresiła chwile twych naddziadów chwały,
 I kiedy Chrystus wznosi się w obłoki,
 Kiedy świat życiem oddycha szeroki,
 Polaku! czyliż przynależą tobie,
 Abyś sam jeden tylko leżał w grobie?
 Ocknij się Lechu! a z orężem w dłoni,
 Uchwyc chorągiew orla i pogoni.
 Zwódcz ciężkie boje i niech zna świat cały,
 Że cię pasuje Chrystus zmartwychwstały.
 Do broni wiaro! a ulegną losy,
 Chwyćmy co z brzoza, broń, dzidy czy kosy,
 Boga, ojczyznę miejmy w pierwszym względzie,
 My damy rękę, Bóg nią władać będzie,
 Bóg nas wydzwignie, jak wybawił wtedy,
 Kiedy Kordecki z garstką pobił Szwedy.
 Zgon za ojczyznę ma swoje powaby.
 Leć na pociski rzeško młodzi miła,
 Na takie hasło, ten zdrajca, kto słaby,
 Już to ostatnia godzina wybiła.
 Złączmy się wzajem w tej stanowczej chwili,
 Która już tyle ofiar pochłonęła,
 By karta dziejów smutno nie westchnęła:
 Młodzi polacy, matki odstąpili.
 Krwawa się luna na niebie roztwiera,
 Dziś Chrystus święty za cnotę umiera,
 Dziś nasi bracia w ojczyzny potrzebie,
 Na szubienicach z Chrystusem konają,
 Narodzie zemsty i zemsty wołają,
 Choć Bóg im mówi: dziś będziecie w niebie.
 Ale na ziemi któż zbrodnię poskromi,
 Aby się w naszej krwi dłużej nie myła?

Do broni wiaro! niechaj się dopomni
 Naszych łzów i krwi, twoja moc i siła.
 Kiedy się obłok zarumieni krwawy,
 A Bosak wiarę wezwie do rozprawy,
 Męczeńska wiaro! na gody z rozkoszą!
 Boga Rodzico! niech pieśń rotę głoszą,
 A gdzie postąpi twoja noga śmiała,
 Tam będzie honor, zwycięstwo i chwała.
 Płyniemy wartko po mórz oceanie,
 Garstka wybrańców pod nieba opieką,
 Nie pewni, co się dzisiaj jeszcze stanie,
 Czy dni zbawienia zbliżą się, czy zwleką,
 Ufni, nim swobód jutrzienka zabłyśnie,
 Naszej nadziei wyglądamy w dali,
 Bo kiedy zwątpim, korab szczęścia prysnie,
 I kolos sławy naszej się obali. —
 Z żelaznem sercem i żelazną wolą,
 Bóg się sam zajmie swoich dziątek dołą,
 We krwi potokach, jak w chrzcie odrodzeni,
 Czyż mozem zasób bohaterów trwonić?
 Wszakżeśmy mieli swobód naszych bronić,
 Ktoż tę przysięgę Bogu daną zmieni?
 Głos tajny we dnie, czy w nocnej pomroce,
 Ten upominek w sercu założgoce,
 A gdy go złamię, Bogu wiarołomni,
 Bóg się sam słowa danego dopomni. —
 Słodziej podobno, kiedy nasze prochy,
 Na łonie matki będą pogrzebione,
 Niżeli z wzdardą od zimnej macochy,
 Na obce śmieci zostaną rzucone,
 Gdzie stopa ludzka śladu niewyciśnie,
 Jedno westchnienie bratnie nie doleci,

Czuła łza z powiek na grobie nieblyśnie,
 W ciężkiej rozłące, matki, żony, dzieci.
 Oeknij się wiaro! wśród zwątpień, rozpaczy,
 Pnij się jak bocian ku rodzinnej stronie,
 Aby choć umrzeć na matki swej łonie.
 Tam na Golgocie zbawienie człowieka,
 Tam jaśni cała zmartwychwstania władza,
 Kto tylko tchórząc od krzyża ucieka,
 Ten jest faruzem, ten ojczyznę zdradza.
 Podobnaż skakać płochu w ciężkiej dobie,
 Nęcąc do piekła zniewieściale dusze,
 W uludnym tańcu sposobie katusze,
 Gody szatańskie na matki swej grobie.

Boże coś Polskę, jak ojciec jedyny,
 Z ostatniej nawet podźwigał ruiny,
 I coś natykał w słabych dzieci dusze,
 Wielkie pomysły, wielkie animusze,
 Któryś w Łazarza ciało już przegniłe,
 Wlał znowu ducha, dał żywot i siłę —
 Przeszyj o Panie dziatwę zniewieściałą,
 Miłością kraju, odwagą i chwałą.
 Niech, gdy myśl tęskna kielich żółci leje,
 Resztki świętości dźwiga z ognisk Troi,
 Rafał wzrok ciemny Tobiasza goi,
 I Sary błędne oświeca koleje. —
 Widzę mą gwiazdę znowu na okłoku,
 Pnącą się z góry na złotym rydwanie,
 W jasnych promieni płynąca potoku;
 Dziewico nieba, twego wnętrza drganie,
 Co blaskiem życia moję duszę pieści,
 Jakież ożywcze prynosisz mi wieści?

Czyli Bóg dobry z niebieskiej krainy,
 W naszym skonaniu zlitować się raczył,
 I wraz tak ojców jak i synów winy,
 Splótkane łzami, stanowczo przebaczył?
 Jeśli tak luba, tchnie w Bożym zakonie,
 Rzesko gwiazdeczko leć ku naszej stronie,
 Nawiedz pustkowią pogrzebne mauzole,
 To niegdy złote, chlebobawcze pole,
 Naszą ojczyznę, ziemię ulubioną,
 Na jeden cmentarz pogrzebny zmienioną,
 I w dobrej matki, w anioła postaci,
 Orzeźw oblicze smutne naszych braci,
 Niosąc drużynie polskiej wieść radośną,
 Że może jeszcze z tą uroczą wiosną,
 Wielki Jehowa, błagany obficie,
 Polskiej rodzinie wróci nowe życie.
 Żeś ty prorocza upragniona gwiazda,
 Wabisz pisklęta w rodowite gniazda,
 Strzeżesz je zawad i omijasz sidła,
 Aby je tulić pod matczyne skrzydła.

Moja ojczyzno! pola, domie drogi!
 Kiedyż zawita dzień fortunny, błogi,
 Który sieroty zbliży ku tej stronie,
 Ku której wdzięczne wyciągają dłonie,
 Ku której oddech z pierś naszych wylata,
 Ku której pnie się jak ptak myśl skrzydłata,
 Od której wietrzyk, powiewa tak miły,
 Że jak tchnie z tamtąd, wzmacnia słabe siły. —
 Przyleć wietrzyku by tobą oddychać,
 Poszepecz do ucha, co tam u nas słychać,
 Przynies choć jedno słoweczko pociechy,

Któreś ukradkiem uniosł z pod méj strzechy,
 A i to słówko jak gwary słowicze,
 Na małą chwilkę rozjaśni oblicze.
 Nim znów sunąwszy gdzieś tam świat daleki,
 Umilknie, może, umilknie na wieki.
 Wstrzymaj się luby, niech twój szmer zaśpiewa,
 Jak się rodzina, jak się lud mój miewa,
 Czyli też kiedy w mocój poniewierce,
 Poczuciem bratniém zatętni ich serce?
 Czyli druh jaki myślą za mną goni,
 Westchnie w te strony i leżkę uroni?
 Czy mój ogródek urokiem bogaty,
 Nie zatarł śladów swego gospodarza,
 Nie zwiędły ręką moją siane kwiaty,
 I słowik o mnie Bogu pacierz stwarza?
 Bocian przyjaciel, co mię z wiosną witał,
 Czyli klekocąc o mnie się zapytał?
 Czyli pies wierny, co myśl ciężką kryje,
 Posmutniał obcym udatkiem żywiony,
 A wietrząc za mną w różne świata strony,
 Westchnie, zaskomli i przykro zawyje.
 O! mój ty miły, mój pudlu kochany,
 I ja też tęsknię serdecznie po tobie,
 Ty płaczesz i ja jęcząc łzą zalany,
 Że nie zawyczysz druha na mym grobie.
 Popieś wietrzyku, w swem igraniu skory,
 Jakby mą ręką, mego psa kędziory;
 Gdy to poczuje, kto go smuknął? spyta.
 Powiedz: przyjaciel szczery ciebie wita. —
 Jeszcze wietrzyku uwesel twe lice,
 Pocałuj pola, błonia i łąk kwiatki,
 Popluskaj Bugu złociste krynice,

Pokrop łzą ranną grób drogi mej matki,
 I nim znów fruniesz zganiać niebios fale,
 Obwieść wszystkiemu mojej duszy żale
 Niech zabrzmią debrza o drzew potracę sęki,
 Odbiją skały, góry moje jęki,
 Zagruchnie echo po ziemi i niebie,
 Pieśni mych piersi jęczących w Horebie...
 Milczysz wietrzyku, ach! nic cię niesłychać,
 Choćby jęk jeden zemną mną żalność dzielił,
 Choćby jęk jeden w moje serce strzelil,
 Wolno mi tylko łzy ronić i wzdychać,
 A więc zajęknę a ściany nieżywe
 Powtórzą pewno moje żale tkliwe;
 I kiedym wołał: Bóg moj! z całej siły,
 Bóg twój, mi ściany cztery powtorzyły.
 Złożyłem dłonie, w duchum pacierz mnożył.
 A głos tajemny: Bóg twój, mi powtórzył.
 O! to głos święty, on mi życie daje,
 Kiedy usypiam, we śnie, Bóg twój woła,
 A tego Boga ścigam dookoła,
 Jemu ślę pacierz kiedy słońce wstaje,
 Idąc za każdym krokiem jego szukam,
 Jemu łzę każdą posyłam w ofierze,
 Czują rozmową z nim są me pacierze,
 Niemi żal tłumię i do nieba pukam.

O! ludzie, marne tego świata pyły,
 Których pocucia o Bogu zwątpiły,
 Wlepcie zachwiane tam na górę oczy,
 Kędy cudowne krążą miryady.
 Gdzie słońce, księżyc, Bóg swą ręką toczy,
 Pcha na gościńce i wytknięte ślady.

Rzuca jak pilki, w błękitnym obłoku,
 Jednego nawet nie da spóźnić kroku;
 Zstąpcie niewierni w niezgłębione morze,
 Wewnątrz ziemi, przepaściste kraje,
 Potem rzeknijcie z skruchą i w pokorze:
 Nie jasnoż Bóg się w tem wszystkim wydaje?
 Tak ja go widzę, czy nocą, czy z rana,
 Znam go za Boga, za ojca i pana,
 I ten jest duszy mojej odbłysek pewny,
 Że gdy świat cały nas biednych porzuci,
 On na krew naszą i na płacz nasz rzewny,
 Podzwignie z toni i swobody wróci.

Marzenie moje w Dreźnie.

W dzień Ś. Bonifacego 14 Maja 1864 r.

Zaszumiał wietrzyk, listkami pomiata,
 Od lubej strony, rodzimego świata,
 Popieścił moje szronem kryte włosy,
 Jakaś nowinę poszeptując w uszy,
 Jakaś nowinę chciał wcielić do duszy,
 Pewno złagodzić jej mordercze ciosy.
 Tak, ulagodzić tkliwą jej tęsknicę,
 Wjonął i uspił zwilżoną źrenicę,
 I już zasypiam oparty na ręce...
 Dobrze choć chwilkę stłumić serca żale,
 Rozpedzić smutne wyobraźni fale,
 Marzyć i o swej zapominać męce,
 Myślą zbolalą gdzieś tam w dali stronić,
 I na kształt dziecka za motylem gonić.
 Nin znów szmer jaki, jakby na złość prawie,
 Zbudzi z brzemieniem boleści najawie.

Noc była ciemna, całun krył obłoki,
 Dokoła wszystko ujął sen głęboki,
 I ekliwe jęki śmierci lub niedoli,
 Głosiła sowa w spruchniałej topoli.

Wietrzyk tym czasem pjął się w górę, silił,
 Aż wreszcie błękit z ciemnych chmur wychylił.
 Z krain nadziejskich w wdzięcznym majestacie,
 Zawitał księżyc w złotolitej szacie,
 Gwiazdami niebo pięknie się okryło,
 I wnet się jasność po ziemi rozlała,
 Wszystko tak wdzięcznie na niebiosach tliło,
 Że jak na dłoni ziemia się wydała.
 I pola nasze, i łąki i siola,
 Domek mój w kwieciu, barwinków rozłoga,
 Pagórki, klomby i wody krynica,
 Tam o dwóch wieżach stał przybytek Boga,
 W błoniu Bug płynął, na wzgórkach kaplica,
 Przy tej kapliczce gaiczek zielony,
 Cmentarz strumykiem, kwieciami okolony,
 A na cmentarzu miłości zadatki,
 Mogiły bratnie i grób mojej matki.
 O! moje myśli, moje chęci płożą.
 Że i mnie kiedyś w tym grobie położą.
 Wtenczas dopiero od cierpień daleki,
 Spać będę długo, spać będę na wieki.
 Przemina lata a ślad mego życia,
 Jak mgła chwilowa na zawsze uleci,
 Chyba badając ktoś wstecz czas daleki,
 W iskierkę dmuchnie i z popiołu wznieci,
 Pokaże palcem na kościelne mury,
 Na drzewa czasu mego rówienniki,
 Na ręką moją usypane góry,
 I rzeknie: oto są jego pomniki,
 Wspomień przeszłości stanowiące kartę,
 Tkliwej pamięci i westchnienia wartę. —
 Ale pewniejsza jakto zwykle w świecie,

Ze te poczucia ktoś z wzdardą pomiecie,
 Chyba przyroda, długą budząc ciszę,
 Na grobie, wspomień kwiatek wykolysze,
 Ten kwiatek hożo do mnie się umili,
 I słowik z wiosną piosnkę mi zakwili...
 Wtenczas osoba żalobą okryta,
 Takim urokiem cmentarza zwabiona,
 W pośród ojczyzny nieżyjących łona,
 Na grób mój spojrzy i o imię spyta?
 A martwe głosy, zamiast ludzi żywych,
 Kto byłem, rzekną jej w wyrazach tkliwych:
 Że na pagórku ta kapliczka święta,
 Która ożywia pustkowie cmentarza,
 Jeszcze starania mej ręki pamięta,
 I pacierz za mą duszę Bogu stwarza.
 Że te mogiły, ślad życia człowieczy,
 Są grobowiska ludzi śpiących w ciszy,
 Owieczek mojej powierzonych pieczy,
 Mych rówienników, druhów, towarzyszy,
 Równych wam wszystkim, śmiertelników, ludzi,
 Których Bóg uspił i znów na sąd zbudzi. —
 Czy wy to wiecie że u tych podwoi,
 Grób już otwarty nie opodal stoi,
 A za nim będzie na ziemi świtało,
 W nim jutro złożą zimne wasze ciało.
 O blahą trzcinę żywota oparci,
 Z podrzutem wiatru każdy w przepaść wleci,
 I wśród uludzeń rozpieszczone dzieci,
 Łzów pogrzebowych, wnet będziecie warci.
 Kiedy dumając, myśl zbolalą prężę,
 Gwary drużyny polskiej gdzieś zawrzały,

Spostrzegłem zdala wsparte na orężu,
 Jak hufce bratnie rozłożone stały.
 A biwakując przy ogniu godowe,
 Każdy coś wyrzekł albo to, lub owe,
 Dzielny Mystkowski marsowej postaci,
 O szablę wsparty mierzył obóz okiem,
 Walecznej godnie przewodniczył braci,
 I okolicę bystrem mierzył okiem.
 Na bliskim wzgórkę Nowaka Kurpiki,
 Dziarskie z kosami czyniły obroty,
 Na błonię stały Jankowskiego roty,
 I Lityńskiego z Litwy Kopijniki.
 W tem z lasu rozległ się widety strzał,
 Hetman do broni! żwawo hasło dał,
 Zagrzmiął po rotach wojowniczy śpiew,
 I wnet przelewać zaczęła się krew.
 Zwarły się szyki nie jednakiej siły,
 Zbiry nad Polską zwycięstwo wróżyły,
 Lecz gdy już prawie zguby chwila była,
 Pod tajną ręką pękła wrogów siła. —
 Las w koło gorzał dotknięty pożogą
 Gdzie niegdzie jeszcze słyhać było strzały,
 Trzęsły się Kurpie przerażone trwogą,
 Bo im zniszczenia wojny w głowach stały.
 Wtem się od lasu podniosła kurzawa.
 Z radosnem pieniem ciągnęła młodzież żwawa,
 Każdy jej chętny i każdy ją wita,
 O ojca, brata i kochanka pyta?
 Bo to ich serca, bo ich dusze czują,
 Że się nie wszyscy pewno odrachują.
 O tak nie wszyscy, w pośród ciężkiej próby,
 Nowe po lesie wykopano groby,

Hoże Kurpianki, jakby leśne łanie,
 Z tęsknotą serca leciały w rozłogi,
 Na swych wybawców, na lubych spotkanie,
 By im słać wieńce kwiciste pod nogi.
 O! nie zadługo radość się zachwieje,
 Kiedy kwiat świeży w ręce uwiędnieje
 Na próżno lubej źrenica się biedzi,
 Między hufcami swego nie wysłodzi;
 A nieznalazszy, towarzyski zbiera,
 Zalamie dłonie i skargi otwiera. —

Siostryczki drogie, ledwo rozedniło,
 Starszy sen zpowiek, wyruszyłam z chatki,
 Zbierać dla naszych na wieńce bławatki,
 Patrę że słońce jakby w krwi brodziło —
 Zbladła, uklęklam, łzą skropiłam skronie,
 Rannym pacierzem przywitałam błonie,
 Błagając Boga pod zrenicą mgławą,
 Za ojca, brata i rodzinną sprawą,
 Za rówienniczki i za kogoś jeszcze;
 Kiedy mię z nagła zimne przeszły dreszcze...
 O nie napróżno wtenczas serce biło,
 Bo do tęskliwej duszy coś mówiło,
 Jakiś talizman dziś kryją te bory,
 Wszakże w okupie matki ofiar trzeba,
 Gdzie rąbią drzewo, tam padają wiory,
 Może i z moich kto frunął do nieba. —
 Powiedzcie drodzy, powiedzcie mi mili,
 Kogoście z pośród siebie uronili,
 Albo zamilezcie, jeśli los złowrogi
 Nam przynoscicie, broni towarzysze.
 Lepiej że chwilkę te wieśniacze progi,

Spokoju jeszcze utrzymają ciszę. —
 O! nie, siostryczko! co dały niebiosy,
 Przystoi wszystkim razem tem się dzielić
 Czy świetny tryumf czyli krwawe ciosy,
 Trzeba je wzajem w bratnie serca wcielić.
 Rana najcięższa nie tyle dojmuje
 Kiedy ból srogi towarzysz współczuje,
 Do wytrwałości w złem druha uzbraja,
 Sroższe w swem ciełe pokazując blizny,
 Z trudami wojny, śmierci go obswaja,
 Na które trafi w obronie ojczyzny.
 O tak siostryczko było wśród tej próby,
 Że dwa sąsiednie wykopano groby,
 Legł ci brat, zginął luby, mówiąc słowa:
 „Umieram, droga dziewico! bądź zdrowa.“
 Stój, o rycerzu, ze trwogi truchleję,
 Nie mam, o! nie mam siły na ten głos,
 Śmiertelny duszę mą przejmuje cios,
 Zginął mój luby i ja padam, mdleję. —
 Padła jak gdyby z nim umierać chciała,
 Dusza jej chwilę frunęła od ciała,
 I szybiąc wartko w ponadziemskiej sferze,
 Sledziła ducha kochanego szczerze.
 Tym czasem płynął w tryumfie huf cały,
 Kurpianki wieńce po drodze mu ślały,
 Gdzie Hetman? odgłos rozległ się żarliwy,
 Aby mu wdzięcznie stroić bluszczem skronie;
 Ach! i on poległ w ojczyzny obronie,
 Poległ Mystkowski, poległ, już nie żywy! —
 Nie żyje? jęki z ust i serc zadrgały,
 Nie żyje! echa lasów powtarzały.
 Jak lew wśród gradu kul walcząc w rozłogu,

Ugodzon w piersi, ducha oddał Bogu.
 O! jeszcze wielu jego towarzyszy,
 Zaległo groby w kościelnej zaciszy.*)
 Szczęśliwsi stokróć od ciebie Jankowski,
 Cnoty aniele, coś wkszałcie dziewicy,
 W rękę tyranów zgasł na szubienicy,
 Niosąc niewinność swoją na sąd Boski. —
 Lecz utamujcie łzy, biedne dziewczęta,
 I z uległością znieście duszy cios,
 Niech każda o tem Kurpianka pamięta,
 Ze droższy nad świat jest ojczyzny los.
 Dalej do domów w Joanny postaci,
 Do walki nowej powoływać braci,
 Łzą potem lubyh mogiły porosić
 I o los lepszy dla ojczyzny prosić,
 Aby Bóg dobry łagodząc serce rany,
 Na zbojców naszych rzucił swe tarany.
 Nie pragniem zemsty w zakonie wytrwali,
 Lecz prosim nieba w pośród ciężkiej męki,
 Niech moc ciemiężców na ziemię powali,
 I miecz zabójczy wytrąci im z ręki. —

Przyszły dziewice wierne Bogu, chwale,
 Po całym siole szerzyć swoje żale,
 Starcom, młodzieży, płaczkliwemi głosy,
 Ciężkie wypadki rącho ponowiły.
 Wnet dziarska młodzież, uzbrojona w kosy,
 Naszych zastępów podwoiła siły,

*) Pochowani razem w Zarebach u księży Reformatów:
 Ostaszewski, Podbielski, Lawski, Frycze, ksiądz Rostkowski,
 Walewski, Pisarzewski, Gutkowski, Rakowski.

A one rade, udziaławszy tyle,
 Znow w opiekuńczych aniołów postaci,
 Poszły lzy nowe sączyć na mogile;
 Błagając Boga za duszami braci. —
 O dobry Boże, który jesteś w niebie,
 Idziemy do Cię w ostatniej potrzebie,
 Idziemy do Cię w pokorze i skrusze,
 Przytul w niebiosach braci naszych dusze
 A biedną ziemię, matkę tej rodziny,
 Wydzwignij Panie z ostatniej ruiny,
 Aby heretyk z swego majestetu
 Dumnie nad wiarą niepodnosił czoła,
 Depcąc co Twoje i co święte zgola,
 Swem wierolomstwem nie panował światu.
 Rozwesel Panie twego ludu serce,
 Rozdmuchnij chociaż nadzieje w iskerce,
 Bo gdy opuścisz naród krwią zalany,
 Zdasz się nieczuły i nieubłagany,
 Marnie zginiemy, a na tej ruinie
 Zwolennik błędu postawi świątynię.
 Nie dopuść Boże byśmy doczekali,
 Że się twa wiara pod przemocą zwali,
 Ale Cię raczej błagamy obficie,
 Nim zglądziś wiarę, weź nam wprzód życie. —

Zmilkły dziewice, duch się ich mozolił,
 Anioł skrydłami niewinność okolił,
 Tęcza cudowna na niebie zawisa,
 Z serca nieufność w strony się rozprysła,
 I w zakład Boga z swym ludem sojuszy,
 Pełna nadzieja rozlała się w duszy. —
 Przystanął orszak w naznaczonym szlaku,

Dokoła obóz osłoniły czaty,
 A nasza wiara przy krótkim biwaku,
 Jęła się raczyć czém kto był bogaty.
 Biedne kurpianki z bliska i z daleka,
 Znosiły strawę z jarzyny i mleka,
 Pieśni wojenne po obozie wrzały,
 Dziewice od krwi rany tamowały.
 Starzy płakali, przewidując trwogę,
 Czém kto mógł z serca swoim dopomagał,
 Jeden ich ścisnął, ten znow Boga błagał,
 Matki dziecinom dawały krzyż w drogę.
 Boże! wlej w obcych miłość choć w iskerce,
 Na te poczucia, zdumiejcie się ludy,
 A ceniąc cnotę polską bez obłudy,
 Z żalu nad nami pęknie wasze serce.
 O! dobry ludu, o! Kurpiowie mili,
 Któż bez szacunku zapomnieć podola,
 Jak wierni sprawie polskiej w każdej chwili,
 Poczuć wasze uczęciście siola.
 Cześć wam Kurpiowie! w cnotach dziadów trwali!
 Ja moje dłonie podnosząc w ofierze,
 Poślę do nieba serdeczne pacierze,
 Za was którzyście rad moich słuchali.
 Dobrze pamięta dziejów naszych karta,
 Kiedy nam ciężka dokuczała bieda,
 Jak waszem męstwem ojczyzna podparta,
 Z naszej ziemi wygnaliście Szweda. —
 Przemina wieki jakby chwila mała,
 I tu nastąpi pokolenie nowe,
 Szperając wnuki te czyny wzorowe,
 Zdumieją gdy ich spotka dziadów chwała.
 Wezmą hart duszy, o tę krawędź wsparci,

Miłość ojczyzny będzie ich zadanie,
 Natężą chęci, natężą staranie,
 Aby was, Kurpie, wnuki byli warci. —

Jam śnił, chwyciwszy za nitkę sojuszy,
 Sił wątłych w ciele zbierając ostatki,
 I kiedy nadmiar jakiś ciężył duszy,
 Spostrzegłem z nagle obraz mojej matki,
 W taką serdeczność i urok bogaty,
 Jak w dni fortunne, gdy w raz ze mną była,
 Taka urocza, tak słodka, tak miła,
 Prawie ta sama jak była przed laty. —
 Chwyta mię dłonią, kiedym się nią trudził.
 O! jakaż radość, w sercu się rozlała!
 I tak mi błogą ta chwilka się zdała,
 Żebym rad nigdy ze snu się niebudził.
 Lecz w tém trzask jakiś przerwał ułudzenie,
 Ocknąłem, znikła illuzya cała,
 Poznałem marne i senne marzenie,
 Uleciał urok, tęskna myśl została. —
 Nie masz mej matki, ja sieroce dziecko,
 Na obcej ziemi cztery widzę ściany,
 Tułaczy pielgrzym, w obojętnym świetcie,
 Znowu jak wczora, świeżą łzą zalany.
 Radbyim, lecz nie wiem jak o szczęściu płożyć,
 Ujrysz się kraju w lepsze niż dziś chwile?
 Albo nadzieję trzeba obok złożyć,
 Na zmartwychwstanie zaczekać w mogile! —

Cześć

GŁOWIE KOSCIOLA PIUSOWI IX PAPIEŻOWI.

W Dreźnie, 17 Maja 1864.

Pan północy, z majestatu
 Rzucił dumny wzrok,
 Pogroził polskiemu światu,
 Jak Krakusa smok.

Zionął tofaną na ziemię,
 Aby ludzi truć,
 Potem zdeptać Lecha plemię,
 I w łańcuchy skuć.

Bo mu hydra serce jadła,
 Że Lech cześć swą znał,
 Twarz despoty strachem zbladła,
 I buntu się bał.

Postanowił w takie szpony,
Polski naród wziąć,
Aby jak robak zgnębiony,
Do stóp swoich zgiąć.

Jarzmo na kark dać nad miarę,
By go dobrze czuł,
Stracił w lepszą przyszłość wiarę,
I orał jak wół.

Drgając zbladły na szafocie,
Ciągnął stryczka róg,
Zapomniał o wierze, cnocie,
Jak chce ziemski bóg.

Potem marnie uduszony,
Oblatą się stał,
Aby naród zatrwożony,
Przed mocarzem drzał.

Senna Panie twoja mara,
Czytaj wyrok w głos,
Że litery Baltazara,
Twój stanowią los.

Polak duchem jest bogaty,
Duchem płynie w łot,
Marne ciemnych więzień kraty,
I przemocy młot.

Duchowi śmierć niezaszkodzi,
Którą zadał kat,
On z mogiły się odmłodzi,
Jak wiosenny kwiat.

Za nic twoje podle złoto,
Coś nim podstęp snił,
Bóg nadzieja, kruszec błoto,
A despota pył.

Zawsze takich Bóg ukarze
Którzy piją krew,
I rzucają w świat potwarze,
Nie wschodzi ich siew.

Siedzą jak Tantal spragniony,
W głębi złotych wód,
Gdy je chwycą, one w strony,
Ulatują w przód.

Jęk się odbił z Babilonu,
Olbrzym wiary wstał,
I z świętego cnoty tronu,
Za Polską się wdał.

Oblicze mu rozjaśniało,
Jak z niebieskich tęcz,
Rzekł do ludów świata śmiało,
Boską prawdę wręcz:

Że wprzód nim go Bóg zaprosi,
Na swój straszny sąd,
Z majestatu swego głosi
Heretyka błąd.

Polak swobód spodkobierca,
 Odarty z czci, praw,
 Masz, srogi jego morderca,
 We krwi brodzie wplaw?

Dzierząc głowę w kształt Meduzy,
 Z trupów wznosić tron,
 Świątynie zamieniać w gruzy,
 Siać mordy i zgon?

Możesz na tego tyrana,
 Bezdroża i srom,
 Wstrzymać jeszcze z Watykana
 Ojciec ludów grom?

Krew się leje, ojciec święty
 Nie może jój znieść,
 Ciosem sierot polskich tknięty,
 Musi pomoc nieść. —

Nie śmiej się północy panie,
 Słąc w odsiecz kul grad,
 Na to hasło, niezostanie
 Twej potęgi ślad.

I naród co na krew czycha,
 Na kapłanów głos,
 Jak mocne bramy Jerycha,
 Padnie w gruzów stos. —

Marna cała pogan rzesza,
 Tyran pyłu garść,
 Tehnie Bóg w zamęt, szyki zmiesza,
 Babel musi paść.

Konając dumny wyrzeczę,
 Do poddanych sług,
 Wszystko próżność jest człowiecze,
 Grunt — dusza i Bóg.

Czternasty już wiek uchodzi,
 Jak Atylli grot
 Na Rzym święte miasto godzi,
 Z tłumem Hunnów rot.

Trwoga wstrzęsła mury stare,
 Jęknął Piotra gród,
 A gdy tyran przebrał miarę,
 Pokazał Bóg cud.

Leon pierwszy, za krzyż chwyta,
 Wiekiem zgięty mąż,
 Zbrodni grozi, nieba pyta,
 Jak roztropny wąż.

Czyli dobry Bóg bez miary,
 Da krew ludu lać;
 Dopuści upadku wiary,
 Co ma wiecznie trwać?

Wzmocnił serce rozkaz nieba,
 Jakby gromu strzał,
 Tam, gdzie cnoty bronić trzeba,
 Aby jak gład stal.

Z modlitwą w ustach i wiarą,
 Sprawił trzody piecz,
 Padł dumny tyran ofiarą,
 Zwany Boży miecz.

Taki koniec zawsze czeka,
 Cemiężących świat,
 Ze choć długo Bóg odwleka,
 Zciera zemsty ślad.

Cuda Boga

W OKUPIE RODU LUDZKIEGO.

W Dreznie, 20 Maja 1864 r.

Armenio! Boski raju,
 W darze ojcom naszym dany,
 Miodem, mlekiem, płynny kraju,
 Gdzie urok przyrody zlany,
 Jakby z obfitości rogu,
 Zawdzięczał ten wybór Bogu;
 Ależ wśród szczęścia rozwoju,
 Tajny symbol nieba tkwił,
 Aby zerwać nić spokoju,
 Szatan też intrygę wił.
 Znał Ewę słynną urokiem,
 I zastawił sidła zdrady,
 Aby jednym śliskiem krokiem,
 Potargać z niebem układy.
 Wnet się do fortelu wziął,
 Tajemnicze jabłko zdiął,
 Kłamał, od Igarstwa się krztusił,
 Ojcom naszym śnił byt błogi,
 Co miał ich wynieść nad bogi,
 Że aż biedną Ewę skusił.

Zjadła jabłko owych stron,
 Zabronione im od Boga.
 Znikł urok, wstrzęsła nią trwoga,
 I straszny zawitał skon.
 Niewinność razem uciekla,
 Uczuła nagość człowieczą,
 Nie znaną pod nieba pieczę,
 I lice wstydem zapiekła.

O! biadaż niewiasto tobie,
 Matko rozległej rodziny,
 Wynnana z szczęścia doliny,
 Położysz ród ludzki w grobie.
 Złe co się tak krótko stało,
 Boleścią dojmie twe ciało,
 Troską umysł twój obłoży,
 Illuzya się wyśliznie,
 I dziatki twoje w puściznie,
 Zwątną pod karą Bożą.
 Spełniać będą chwilę łzawą,
 Od kolebki do mogiły,
 W znoonej pracy zwątną siły,
 Pod słuszną nieba ustawą. —
 A mdlejąc w ciężkiej niedoli,
 Utwór Boga znamienity,
 Szukać musi chleba w roli,
 Którym był wśród rajy syty.
 Tak zgubiony krokiem płochym,
 Jak wół w jarzmie wnet zwałęje,
 Skruszy się, zbladnie, zachwieje,
 Umrze i zostanie prochem.
 Łza Ewie lysnęła w oku,

Ta łza, to gwiazda zarania,
 Po ślisko stąpionym kroku,
 Już jest godłem przebłagania. —
 Kobieto, my dzieci twoje,
 Rozpieszczone na twem łonie,
 Mamyż zwiększać matki znoje,
 I żalem okrywać skronie? —
 Chociaż grzechem potyrana,
 Zdołasz ciężki spłacić dług,
 I wśród łzów twych krwawych stróg
 Znów znajdziesz łaskę u pana. —
 Po upływie wieków wielu,
 To zło wnet się wynagrodzi,
 Z szczepu królów w Izraelu,
 Gałąź życia się odmlodzi.
 Siła cnoty grzech zwycięża,
 Ona zdepcze piekła węża,
 I znowu z grobu ukrycia,
 Ród ludzki wezwie do życia.
 Droga współniczko brzemienia,
 Dobrze pojęłaś w twej duszy
 Utratę Boskich sojuszy,
 Radu ludzkiego plemienia.
 Tęskną boleść śląc w obłoki,
 Po gorzkiej żolci kielichu,
 Zlałaś zdroj Bożej opieki,
 W szczęśliwym choć marnym grzechu. —
 Czy rozumiecie plemiona
 Ludów obszernego świata,
 Jak przeważną jest oblata,
 Łzą pokutniczą zwilżona! —
 Pośliznąć się każdy może,

Bo wątle są nasze kubi,
 Lecz gdy grzechu zmyją łożę,
 Łzawe w szczęsny czas potobi,
 Bóg takim chrztem przeblagany,
 Występnego goi rany.
 Wzrosliśmy wśród morza chuci,
 Skłonni do potknięć w pośpiechu,
 Lecz ten tylko co bez grzechu,
 Niech kamień na brata rzuci.
 Łgarzem jest na marnem świecie,
 Kto w antychrysta postaci,
 Że sam bez winy jest, plecie,
 I wytyka grzechy braci.
 Najczęściej olbrzymy zbrodni,
 Co z bliźnich robią igrzysko,
 Kradną aniołów nazwisko,
 Choć belzebuba się godni.
 Duch złości zawsze spotyka,
 Grzechy w każdym zbliźnich czynie,
 Choć jak Nero zbrodnią słynie,
 Na stosach trupów krew lyka.
 Jak Koraib, mogoł dziki,
 Z cnotą wiodąc boj zażarty,
 Zwie na czaszkach ludzkich wsparty,
 Grzeszne Ewy plemienniki.
 Kiedy symbol wybawienia,
 W męczeńskiej tleje postaci,
 Aby z Adama plemienia,
 Podźwignął upadłych braci. —
 Patrzcie na świętym Saronie,
 Dziewica w światel powodzi,
 Puka łą, składając dłonie,

Modlitwą do nieba godzi.
 O, to czysta Boża branka,
 Królowa polskiej ziemnicy,
 Polarna gwiazda poranka,
 Zesłana z nieba dzielnicy,
 Oprominiona do koła,
 Widzi nieba archaniola,
 Jak szparko do jej stóp zmierza,
 Z oliwną róższką przymierza,
 Zwiastując wielkie zadanie,
 Że matką Boga zostanie.
 A na to nieba natchnienie,
 Zakwita palma wedenie.
 Strach się w czystem sercu rodzi,
 Włada niepojęty głos,
 Wstrząsł panną nieznaną los,
 Z Bogiem w rozprawę niewchodzi,
 Ale łą srebrną zalana,
 Wzmacnia pokorą zadanie,
 Mówiąc: „oto sługa pana,
 „Podług słów twych, niech się stanie!“
 Ledwo wyrok zabrmiał chwały,
 Wnet wśród jasnej nieba luny
 Wstrzęsły się ziemi bieguny. —
 Przyjazne Augusta lata,
 Przy fortunnych dni rozwoju,
 Rozpostorły szczęście świata,
 Udyszanego w śród znoju.
 Zawiści znikły człowiecze,
 Wróg, wroga uściskał dłonie,
 Na lemiesz przekuto miecze,
 Sczyk zielony okrył blonie.

Wszystko nową radość czuje,
 Wilk razem z owcą żeruje;
 Ustała zaciętność boju,
 Świat w uroczystej postaci,
 Ludy powitał za braci,
 W objęciach dawcy spokoju.
 Dziecię bez poczucia trwogi,
 Pieści w drobnej rączce żmije,
 Stawia na bazyliszku swe nogi,
 Truciznę za nektor pije. —
 Olbrzymie Karmelu skały,
 Barwink umiał zielony,
 Dęby miodem zapotniały,
 I ziemię okryły plony.
 Słowik wytwarza w gaiku,
 Piosnkę Bogu przy strumyku,
 Pszczółka brzęcząc szybi z klatki,
 Pnąc się z kwiateczków na kwiatki,
 Z aromatem wonnym leci,
 Ranne szeptaając pacierze,
 Miód dźwiga dla Bożych dzieci,
 Swiece na ołtarz w ofierze.
 Galilei gmią opoki,
 Wieść szczęśliwa się rozchodzi,
 Że jak mówiły proroki,
 Bóg się w Betleemie rodzi.
 Bóg się rodzi, lud w pokorze,
 Po ziemi wieść tę roznosi
 Dmie ją z wiatrem gdzieś za morze
 Po wypach bezludnych głosi.
 Doliny, góry i skały,
 Bóg się rodzi w raz zabrzmiały,

Klękajcie ludzkie plemiona,
 Niech przyroda kwiaty roni,
 Dziecię Boże z krzyżem w dłoni,
 Dziewicy dźwierz ramiona.
 Wytrzebajcie ciernia, głogi,
 Hosanna niech świat zaśpiewa,
 Ścielcie mu palmy pod nogi,
 Na nasz padół Bóg przybywa.
 Tulcie lzy polskie sieroty,
 W zrenicy Bożej lza teje,
 Podziela wasze kłopoty,
 I niesie w sercach nadzieję.
 Bóg przyszedł w goście do służgi,
 Aby go w znoju podpierał,
 Tamował krwi ludzkiej strugi,
 I za wszystkich sam umierał.

Ledwo to hasło zabrzmiało,
 Lejąc balsam w ludu rany,
 Słońce złoza we krwi wstało,
 I świat został krwią zalany.
 Heród myśl do duszy jał,
 By król głośny w Izraelu,
 Czekany od wieków wielu,
 Berła mu ziemskiego niewziął.
 Marna królu taka rada,
 Niezapragnie twej korony,
 Kto z niebieskiej przyszedł strony,
 I berło światów posiada.
 Wnet się rozległ jęk po Ramie,
 Heród z enotą sojusz łamie,
 Myśli Boże dziecię zgładzić,

Łącząc je z śmiertelnych gminem,
 Srogości zmazać się czynem,
 I dziatki pod nóż prowadzić.
 Rachel tym ciosem dotknięta,
 Oplakuje niomowlęta,
 Lecz gdy tyran w tej powodzi,
 W własnego syna krwi brodzi,
 Bóg niecny zamiar obala,
 Pod cieniem przeważnej dłoni,
 Chrystusa w Egipcie chroni,
 Życie drogie mu ocala.
 O! zamiarze oplakany,
 Co na zwaliskach ludzkości,
 Budując zbrodnicze plany,
 Chcesz dopiąć szalonej złości.
 Czyliż można nawet płożyć,
 Aby Bóg gromów nierzucił,
 Upadku cnoty dał dożyć,
 I zabiegów złych nieskrócił. —
 Tak pod niebiosów osłoną,
 Emanuel ród człowieczy,
 Unosząc w ojcowskiej pieczy,
 Boską go okrył koroną.
 O! nie uda wam się snadnie,
 Rozbestwieni krwią mocarze,
 Stąpić kroku w złym zamiarze,
 Bo w przódy zamiar upadnie.
 Raz wydana wojna cnocie,
 Pod miecz wiedzie męczenniki,
 Aż wreszcie Izrael dziki,
 Postawił krzyż na Golgocie.
 A na nim za grzechy świata,

Legł Chrystus święta oblata. —
 Śmiertelnicy! czy wy wiecie,
 Że za was położył życie,
 Życie w zbawienia potrzebie.
 Umarł, choć Bóg nie umiera,
 On wawrzyny w śmierci zbiera,
 I znów panuje na niebie.
 O! Jerozolimo święta,
 Zburzona ręką Tytusa,
 Głodem, pożogą dotknięta,
 Za śmierć niewinną Chrystusa;
 Grodzie łzami skruchy zlany,
 Jeremiasz rzewno płacze,
 Gojąc ludu twego rany,
 I jego życie tułacze. —
 Budowałeś twoje losy,
 Izraelu na krwi Boga,
 Pośliznęła się twa noga.
 Padły na cię srogie ciosy,
 Skonałeś w ciężkiem brzemieniu,
 A z miasta niegdy świętego
 Kamień nietkwi przy kamieniu,
 Nie wzruszony z miejsca swego.
 Ludu polski, godzien Sparty,
 Zwróć wzrok twój z tych dziejów karty,
 Tam gdzie brat skuty w kajdany,
 Czeka śmierci u szafota,
 Zmywa łzą Chrystusa rany,
 Wieszczy przyszłego żywota.
 Ozwij się płaczącym głosem,
 Nad bliźniego twego losem,
 A gdy lotr przy tem paizu,

Trafił do niebiosów kraju,
Miałeby Polak na krzyżu,
Niesłyszec: „dzis będziesz w raju.“

Tylko w kim nie tętni wiara,
Z księgi żywota wyjęta,
Ten się podlić tylko stara,
Chwali niewoli swej pęta,
Oczy Izą słuźalczą rosi,
I bez winy od tyrana,
Zginając kornie kolana,
Rozgrzeszenia grzechów prosi;
Ten intruz, nikczemny zbira,
Krew, wawrzyny dziadów tyra,
Na grobie rodzonej matki,
Wśród zdartych ze świątyń łupów,
Po stosach braterskich trupów
Roni krwi drogiej ostatki;
By jej w hołdzie podać czarę,
Własnym zbójcom na ofiarę.
Przyszłe plemie na łup wskazać,
Antenatów sławę zmazać,
I z niewolnikami społem
Zostać w jarzmie dziczy wołem.
Dziewico Boska u krzyża,
W której żrenicy Iza świeci,
Wierna reszta polskich dzieci,
Pod krzyż do ciebie się zbliża;
Matko nieszczęsnej rodziny,
Królowo polskiej krainy,
Wierni Bogu, wierni cnocie,
Przyklękawszy na Gulgocie,

Napełnioną Izami czarę,
Składamy ci na ofiarę.
Niech ta Iza co cmentarz rosi,
Z zbolalej naszzej żrenicy,
Puknie do nieba dzielnicy,
Litości nad nami prosi,
Jedną nogą stoim w grobie,
Bez współczucia świata ludu,
Wyglądamy jednak cudu,
Położywszy ufność w tobie. —

O! takie pocucie wieszce,
To jest pocucie żywota,
Dla tych co nie zmarli jeszcze,
Otwiera niebiczków wrota,
Z nami wszędzie matka tkliwa,
Stopą depcze kłęby gadu,
Wolności chorągiew wiewa
Wśród żłobionego krwią śladu.
Nadzieja z ziemi się kłosi,
Pokazuje nieba szlaki,
A Chrystus jak olbrzym jaki,
Ramiona do góry wznosi.
Polacy! długo grzębieni,
Pod srogiej przemocy młotem,
Patrzcie, Bóg z jasných promieni,
W majestacie płynie złotem;
Wyciąga ojcowskie dłonie,
Ku naszzej męczeńskiej stronie,
By ochrzczonych w krwi potoku
Ze szpon szatana dźwigniętych,
W pośród męczenników świętych,

Umieścił przy swoim boku.
 A ta matka jego tkliwa,
 Królowa na jasnej górze,
 Zawsze swęj dzatwie życzliwa,
 Pnąc po niebieskim lazurze,
 Gdy ciężka ugadza chwila,
 Wzrok czuły ku nam umila.
 I z macierzystego tchnienia,
 Prosi od mąk wybawienia.
 Wtenczas, choć o tem niewiecie,
 Bóg wymierzy swe karanie,
 Waszą przemoc dumni, zgniecie
 Że jej śladu niezostanie.
 Oto jest Alfa, Omega,
 Apokaliptyczne głoski,
 Że kto gwałci wyrok Boski,
 Od kary się nie wybiega.
 Ty jesteś wieczny Jehowo,
 Ręka twoja nas ocali,
 I wprzód się świat wgruzy zwali,
 Nim twoje przeminie słowo.

Ostatnia moja piosnka.

W Dreźnie 1 Czerwca 1864 r.

Jeszcze tylko raz zanucę,
 Ze łą jęknę śpiew grobowy,
 Do serca mego Jehowy;
 I na zawsze pióro rzucę.
 Bo na cóż się to przydało?
 Mowy dużo, czynu mało.

Bibljo, na ciebie liczem,
 Boś ty jest księgą żywota,
 Plon nasz Bóg, dusza i cnota,
 A reszta na świecie niczem.
 Coś tam łyśnie, krótko trwało,
 Zostanie nic, albo mało.

Mądrość, blichtry na papierze,
 Wnet jak pył wstrony uleca,
 Łzy jedne co stale świecą,
 To nasz pokarm, mówię szczerze.
 Lecz i tych choć się dość łało,
 Płaczu wiele, ulgi mało.

To samego Boga zdanie,
 Że oprócz słow, czynu trzeba,
 Bo nie ten trafi do nieba,
 Który mówi: panie, panie,
 Lecz kto zakon chowa trwało,
 Czyni wiele, mówi mało.

Zacząć każdy ma ochotę,
 Ale wnet się w pracy smuci,
 Rozpoczęte dzieło rzuci,
 A nawet Boga i cnotę.
 A tak można mówić śmiało,
 Wytrwałości nic, lub mało.

Kładziesz deskę na warsztacie,
 Chwyciwszy chybel do ręki,
 A gdy ujrzysz tylko sęki,
 Porzucasz twój zamiar bracie.
 Kiedy chyblując wytrwało,
 Pozostalby sęk, lub mało. —

Gdy w śpizarni słycać szczury,
 I złe broi ta cholota,
 Wpuśćemy tam łowczego kota,
 A wnet je wpędzi do dziury.
 I choć się ich dużo zdało,
 Pozostanie nic, lub mało.

Lecz daj im hulać godowie,
 Cierpiąc hałas, znosząc psoty,
 Wkrótce te dzikie istoty,
 Skakać ci będą po głowie.
 Po niewczasie powiesz śmiało,
 Oporu dawałem mało.

Tak zbójcy w strasznej sromocie,
 Gdy sprowadzą pod stryk kata,
 By niewinnie zgładzić z świata,
 Ciebie czleku na szafocie,
 Choćby się serce krajało,
 Dbaj o życie ziemskie mało.

I przy śmierci walczyć trzeba,
 Wiary niezłomnej orężem,
 Boleści pozostać mężem,
 Światu umrzeć, żyć dla nieba.
 A choć kat zabije ciało,
 Gdy duch żyje, szkodzi mało.

W ogrójcu Chrystus pot leje,
 Gotując się do ofiary,
 Pije żółć z boleści czary
 A jednakże się nie chwieje.
 Do walki kroczy wytrwało,
 Wążąc męki i śmierć mało.

Przebodzone Boga serce,
 Daj polakom siłę duszy,
 W wytrwaniu tortur, katuszy,
 W nędzy, głodzie, poniewierce,
 By duchem idąc wytrwało,
 Śmierć nawet ważyli mało.

Niech zbójca z uczuć wyzuty,
 Widząc skrzeplą krew na dłoni,
 Drży od strachu i lży roni,
 Wyrzutem sumienia truty,
 Gdy dlań będzie piekło wrzało,
 Rzeknie: dla mnie to za mało.

Za nic żale i lzy skruchy,
 Gdzie są bliźni? Bóg zapyta,
 Sęp szarpnie wnętrza jelita,
 Staną w oczach ofiar duchy,
 Sledząc krew jaką się lało;
 Tyrany! to dla was mało! —

Zabijać łotrowska sztuka,
 Słyszcie belzebuba syny!
 Klątwa dotknięte kainy,
 Co o zemstę w niebo puka.
 Dla was, którym się krwi chciało,
 Piekła samego za mało.

Ludzie, co myślicie sobie,
 Na zbrodni osnuć nadzieje;
 Szczęście wasze się zachwieje,
 Dziś jeszcze będziecie w grobie,
 Mówiąc: co się z nami stało,
 O tem myśleliśmy mało. —

Na śmierć przeznaczeni razem,
 Staliśmy się zbójców łupem,
 Polak dziś, czy jutro trupem,
 Pod srogim śmierci ukazem.
 Rzućmy się w obronie śmiało,
 Zwycięzimy, choć nas mało.

Zwodziliśmy ciężkie boje,
 Zniknął drogi kwiat młodzieży,
 Lecz rozpaczać nienależy,
 Bojąc się o życie swoje.
 Bo co się dotąd działo,
 Gdy bez skutku, jeszcze mało.

Potomność rzeknie po chwili,
 Rzucając zmarłym wawrzyny,
 Oto prawe polskie syny,
 Śmierci matki nieprzeżyli.
 Wiele łzów będzie się lało,
 Z ocz tych co zrobili mało!

Nim jutro ranek zaświta,
 Sława nas, albo śmierć czeka,
 Kryzys długa — skon człowieka,
 Godna pogardy i kwita.
 Słońce we krwi się skąpało,
 Do stracenia czasu mało.

Boże, w sądach niezbadany,
 W tej stanowszej dla nas dobie,
 Dasz życie, czy złożysz w grobie,
 Ratuń naród łzą zalany.
 Bo się wszystkim dziś tak zdało,
 Że już mamy czasu mało.

Z wiarą w sercu, z krzyżem w dłoni,
 Pójdziem na bój, twoje syny,
 Spiesząc na śmierć, lub wawrzyny,
 Z chorągwią orła, pogoni.
 A jak serce raz zadrgało,
 Grady kul ważym za mało.

Podnieś rękę swą do góry,
 Boże! daj nam krzyż na drogę.
 Rzuć na mongolów, śmierć, trwozę,
 Pędź burzę w Nereczyńskie góry,
 By po ziemi, niebie grało,
 Że nam wróg zaszkodził mało.

Maryo! dziewico święta,
 Tyś jęków naszych odbicie,
 Wróc ojezyźnie byt i życie
 Na leziesz zmien dzieci pęta,
 A wtenczas rzekniemy śmiało,
 Żeśmy zyskali nie mało.

Uproś nam nieba przymierze,
 Okołem twój tron, koronę,
 Nóćąc: pod twoją obronę,
 Złożym ci wieńce w ofierze;
 Podziwiając co się stało,
 Że nam wróg zaszkodził mało.

Włochy.

1864.

Pod młotem cierpień, niedoli, znękania,
 Żółc mym pokarmem i jady tofany,
 Zwiędły jak listek w pośrodku posuchy,
 Wszystko mi obce, urok świata głuchy,
 Jakby w skonaniu twarz śmiertelnie zbladła,
 Znikło natchnienie, duch wieszczu mię rzucił,
 Luteńka z ręki bezwładnej wypadła,
 I rzekłem: więcej już nie będę nócił;
 Porzucę pióro, precz Olimpu córy!
 Zwrócę me stopy na Alpejskie góry,
 Tam kędy skały niebiosów tykają,
 Kędy koniki polne dla ochłody,
 Ukryte w gajach oliwnych śpiewają,
 Modląc się Bogu za dary przyrody;
 Tam ja poniosę poczucia tęsknące,
 Jęcząc w pośród skał, po kraju rozłące.
 Spragniony puknę, potrzebą skłoniony,
 We drzwiczki chatki na skale utkwiony,
 Może, gdy inni, na los mój nieczuli,
 Biedna gospoda wędrowca przytuli,

Wesprze kawałkiem chleba głód sieroty
 Ulży tułactwu, podzieli kłopoty.
 Łkając, zapewno zatętni na łkanie,
 I bez współziomka, za druha mi stanie. —
 Rwany jak wiatrem, jakby z snu zbudzony,
 Wnet powitałem Italii strony,
 Nieba lazurne wzierające w morze,
 W cudownych tęczach brylantowe zorze,
 Kręte w dolinach uroczych ruczaje,
 Pomarańcz, brzoskwiń i figowe gaje,
 Zdobiące skały oleandru kwiaty,
 Zbawczy aloes, brzemienne w frukt drzewa,
 Wieczna pogoda rosy tam wylewa,
 Na ziemię krasną, kraj w urok bogaty. —
 Duch wieszczcy spłynął, wietrzyk począł wiewać,
 I ja też jakby z letargu zbudzony,
 Brząknąłem rześko, w mej luteńki strony,
 I znowu tęskno rozpocząłem śpiewać. —
 Pnę w górę drożką stromą o kij wsparty,
 Gdzie jednej stopy nie widać człowieka,
 Tylko łożgoce potok wód rozżarty
 I wartko ze skał w doliny ucieka.
 Gdyby jęk jeden ozwał się człowieczy,
 Jużbym ochłonął, udyszany w znoju,
 Patrząc ku niebu w sumienia spokoju,
 Rzekłbym: jest dusza co mię ma na pieczy;
 Lecz cicho w koło i słówka niesłychać,
 Czy pojmujecie śmiertelni, stan taki?
 Nawet zarosłe kozy dzikiej szlaki,
 Wolno mi tylko, tęskno marzyć, wzdychać!
 Ale nie, przecię, widzę obok siebie,
 Stróża anioła, który mi przodkuje,

I jeszcze kogoś, który mieszka w niebie,
 Co zliczył włosy, tajemę serca czuje;
 Widzę cię Boże! mój ojcze! mój panie!
 Pod pieczęią twoją ufam temu szczerze,
 Czy noc zapada, czy świta zaranie,
 Że ty pojmujesz, moich ust pacierze!
 Zbrojony krzyżem, łzą wiary ochrzczony,
 Dalejże, dalej, w Italii strony,
 W reszcie w śród ziemi rozległej przestworza,
 Sta nałem zdrowo, po nad brzegiem morza.
 Nuże pod żagle, dmij wietrze życzliwy,
 Bym ujrzał prędko Rzymu port szczęśliwy.
 Buja się okręt wpośród morskiej cisze,
 Pnie po bałwanach tam kędy łąd świta,
 Jakby w kolebce swą dziatwę kołysze,
 Rzuca kotwicę w Vechia civita. —

Zdważam me kroki, ślady nowe żłobię,
 Budzę przeszłości wspomnienia uspięne,
 A mierząc wzrokiem mym Latynów stronę,
 Witam krzyż święty na pogańskim grobie.
 Długo świat w grubem pozostając błędzie,
 Omackiem śledził najwyższej istoty,
 Dopelniał zbrodni, występków, sromoty,
 Ujął szal rozkosz za szczęścia narzędzie,
 Tworzył podrzędnych bogów szereg mnogi
 Pytał wyroczeni: gdzie jest Bóg nad Bogi?
 Wreszcie zbudował kościół w Rzymu łonie,
 Nieznajomemu bogu w Panteonie.
 Ten kościół, symbol i prawdy i cnoty,
 Był metaforą najwyższej istoty.
 Która wśród zamieć i przesądów chmury,

Święte oblicze wychyliła z góry,
 A świat pogański, gojąc błędy rany,
 Głośno powiedział: „Oto Bóg nieznany.“
 Długo od niego ludy całun dzielił,
 Każdy przeziarał w śród mgły do zbawienia,
 Aż lotem gwiazdy Chrystus z nieba strzelił,
 Pasterz dla swego ludu odrodzenia.
 O w Melchizedech z niebieskiej krainy,
 Przyszedł się zmieszać między ludzkie syny,
 Uglaskał dzikie ludów obyczaje,
 Słać apostoły w różne świata kraje,
 A wzamian za to zyskał cierpień znoje,
 Walczył za cnotę i dał życie swoje.
 O! jakież słodkie tego ojca serce,
 Modli się w zgonie za swoje morderce,
 Zaległ grob ziemski a ziemia zdumiała,
 Biorąc go w wnętrze swoje wprzód zadrzała.
 Dotknął jej łona i powstał z niej snadnie,
 A co był w grobie, dzisiaj światem władnie. —

Oto gród święty, gród ów namiestniczy,
 Który po Piotrze dostojność dziedziczy,
 Patrzenie ów olbrzym tam na Watykanie,
 Pnie świętą nawę u nieba podnoży,
 Błyszczą jak smaragd, świta jak zaranie,
 Z kąd błogosławi świat namiestnik Boży,
 Dwa święte źródła u przedsiönka biją,
 I wstęp świątyni z śladów grzesznych myją.
 Aby pielgrzymy wstępując w te progi,
 Naprzód obmyci w niewinnym potoku,
 Jasność niebieską uczuli w swym oku,
 Radość w śród duszy, w sercu pokój błogi. —

Dla mego Boga i wiary wylany
 Z taką ideą wstąpiłem w te ściany,
 Klękam przy twoim Apostole grobie,
 Zebrzę litości krwawą łzą zalany,
 Tę jedną łaskę chcąc wyjednać sobie,
 Abyś zagoił serca mego rany,
 Moję tęsknicę, moje bóle skrócił,
 Powrócił wolność i dom własny wrócił.
 Wskrzesał do życia mą ojczyznę drogą,
 I moim ziomkom dał swobodę błogą!
 Sieroty polskie na świat rozpędzone,
 Proś Boga niechaj ujrzą własną stronę,
 Wiodąc dziateczki krwią i łzami złane,
 Z pośród Egiptu w kraje obiecane.
 Z taką otuchą od Piotra opoki,
 Zwracam napowrót moje słabe kroki,
 Piastując w rękę dla mych ziomków tkliwy,
 W zakład spokoju, różeczkę oliwy.
 Żegnam twe gruzy kapitolu stary,
 Żegnam cię Rzymie, grodzie świętej wiary,
 Grodzie cudowny, grodzie świata zgoła,
 Na mocnej ręką Boga wsparty skale,
 Którego piekła na przemogą fale,
 Ani świat cały zaszkodzić podola.
 W gruzach cyrk Rzymski kędy się krew lała,
 W popiół zmieniłone Cesarzów siedliska,
 Ze świątyn bogów zostały zwałiska,
 Znikła Augusta, Hannibala chwała,
 Zrucił czas wille poetów w Tiwoli,
 Świątynia Westy zniszczała powoli.
 Krzyżu mocniejszy, niż ubiegłe lata,
 Ty sam przemożesz najsędziwsze wieki,

Bo pewny Boga samego opieki,
 Jeszcze zaświecisz i przy końcu świata,
 Cześć ci o krzyżu symbolu zbawienia,
 Tobie ja moje dziś poświęcam pienia,
 Żebrząc litości w ostatniej potrzebie,
 I tej pociechy: „dzisiaj będziesz w niebie.“ —



135228

119927